DZIEŁA

JĘDRZEJA SNIADECKIEGO.

TOM IV.

DZIEŁA

Jędrzeja Śniadeckiego.

WYDANIE

MICHAŁA BALIŃSKIEGO.

TOM IV.

W WARSZAWIE,
NAKŁADEM
AUGUSTA EMMANUELA GLUECKSBERGA,
księgarza przy ulicy Miodowéj. No 497.
1840.

Przemowa wydawcy.

Niniejsze trzy tomiki dzieł Jędrzeja Sniadeckiego, są zbiorem pism zupełnie innego rodzaju od poprzedzających. Są to owoce wesołych chwil wytchnienia umysłu, przywykłego do głębokich i poważnych rozmyślań, i trudów w najważniejszym dla ludzkości zawodzie. Jednakże i wpośród tych igraszek lekkiego dowcipu uważny czytelnik, obok zalet czystego i ujmującego stylu, obok żywych obrazów domowego życia i obyczajów, gdzie niegdzie dotąd jeszcze zachowanych: znajdzie pełno myśli prawdziwéj filozofii piętnem oznaczonych; mnóstwo prawd w najstosowniejszém świetle wystawionych; znajdzie, co większa! i co nie często w wielu nawet bardzo uczonych książkach spotykać się teraz zwykło, zdrowe i skuteczne rady, ku poprawie obyczajów służące, obywatela mocno i rozumnie kraj swój kochającego.

Lecz Autor wszystko to pisał w zbiorze ulotnym, peryodycznie wychodzącym, mając głównie na celu jedno miasto, i bliższemi z niém stosunkami połączone prowincye: pisał nakoniec w gronie ludzi, równie jak on zajętych miłością dobra publicznego, i mniéj więcéj trudniących się nauką, lub obdarzonych talentem zręcznéj i trafnéj obserwacyi obyczajów oraz charakteru miejscowéj ludności. Ztąd, dla łatwiejszego zrozumienia wielu nazwisk i wyrażeń w tém piśmie użytych, dla podania czytelnikowi prędszych i snadniejszych sposobów utworzenia czystego i bezstronnego zdania o całém dziele: osądziliśmy za nieodbitą potrzebę przyłączyć, dla powszechnéj wiadomości wszelkiego stanu i zamieszkania czytelników, krótkie przedwstępne objaśnienie.

W roku 1817 kilku ludzi różnéj professyi i stanu, ale czytać lubiących, wesołych z natury, zręcznych obserwatorów z nawyknienia, zaczęło w nieoznaczonych dniach, bez żadnego pewnego zamiaru, wydawać w Wilnie ulotne pismko, a raczéj świstek mający tytuł *Brukowe Wiadomości*. Czytano w nim żartobliwe uwagi nad teatrem miejscowym i nad autorami dramatycznymi, nad zapalonymi stronnikami nauki Mesmera, będącéj na ów czas w modzie, nad wielbicielami Ba-

chusa, i t. p. Kilka numerów takich świstków w moment rozkupionych zostało. Publiczność z upodobaniem znajdując w tém pismie obrazy i wypadki, których była świadkiem codziennym, cieszyła się, że je pierwszy raz miała sobie wystawione wiernie, naturalnie i z prostotą do pojęcia wszystkich trafiającą. Piszący zatém wzięli ztąd pochop, przedsięwzięcie z razu doryweze, własną może tylko zabawę z razu na celu mające, rozszerzyć, i dla nauki obyczajowéj pożytecznem zrobić. Ztąd wynikły posiedzenia literackie, na których postanowiono wydawać peryodycznie i stale pisemko tygodniowe, zostawując mu tenże sam tytuł *Wiadomości Brukowych*. Wesołe grono piszących, rychło powiększone znaczną liczbą towarzyszów miejscowych i korespondentów z różnych stron, uznało za rzecz potrzebną przepisać sobie pewne prawidła postępowania, i redakcyą pisma swojego udoskonalić. Przyjąwszy więc humorystyczne nazwisko *Szabrowców*, to jest skromnych i ubogich niejako w literackie zdolności i zasługi pisarzy, ułożyła sobie właściwy żartobliwemu swemu powołaniu kodex i obrzędy. Czarownicza łopata, na któréj, podług gminnych powieści, rozmaite tajemnicze osoby latały ponad ziemią, zaglądając wszędzie,

gdzie okiem zwyczajném trudno było widzieć: ta mówię łopata, jako powagi i rozmyślania znamię, a ogromny gąsior zdrojowéj wody, wstrzemięźliwości oznaka, były wybranemi godłami zgromadzenia. Wszelkie jego czynności i akta jawne były i drukowały się co tydzień. Cel ich otwarty zmierzał do karcenia bronią żartu téj śmiesznéj strony wad ludzkich i tych zdrożności, których prawa dosięgnąć nie mogą. Z wewnętrznego urządzenia tego grona piszących, i z potrzeby ożywienia dobrego humoru i ochoty do ciągłéj pracy, wynikły ustanowione w niém urzędy i dostojności. Na czele tego wszystkiego stał prezydent grona. Był zaś nim, w rok po zaczęciu Wiadomości Brukowych, przez cały ciąg wydawania tego pisma, znamienity autor podróży próżniacko filozoficznéj, któréj wydawcami jesteśmy. Rzadki dowcip jego, powszechne poważenie, znajomość ludzi i nauk, słuszne mu do tego przewodnictwa prawo nadały. Spełniał je też z powszechném zadowoleniem, i sam prócz tego, jako zarówno z innymi obowiązany do pisania z kolei, najwięcéj dostarczał artykułów i prawdziwie zbogacił niemi skromne i ulotne pisemko.

PRÓŻNIACKO-FILOZOFICZNA

PODRÓŻ PO BRUKU.

DZIEŁO POWAŻNE.

ROZDZIAŁ I.

Zaczyna się od pochwały.

Cała powszechność autorów, przeczących kollegów moich, zgodziła się od wieków przynajmniéj na to: ażeby każde dzieło od pochwały zaczynać. Te pochwały pospolicie są dwojakie: bo naprzód, jak przekupnie stojący we drzwiach kramów swoich wywołują zalety wszystkiego, co mają na przedaż; tak autorowie stanąwszy na czele swoich dzieł, obiecują czytelnikowi to naukę, to dowcip, to rozrywkę, to dla strawności żarty i śmiechy, to nakoniec nieprzebrany skarb arcy-potrzebnych wiadomości, aby tylko zbyli swój towar, który także zawsze jest w najlepszym gatunku, póki go nie przedadzą. Oprócz tego są zaufani w sobie pisarze, którzy występują z dziełem w ręku, ostrzegając nieznacznie: „Oto ja jestem, kupujcie, czytajcie i dziwujcie się.“ —

Ci nim przystąpią do zalety dzieła, pospolicie całą pierwszą stronnicę zapełniają tytułami, nie opuszczając najmniejszego zaszczytu, i dając przez to znać czytelnikowi, że ma przed sobą dzieło znakomite, które powinien czytać z podziwieniem i najgłębszém uszanowaniem. Takowe tedy poprzednicze pochwały, czyli raczéj samochwalstwa, albo są tytułem, albo się nazywają przemową lub wstępem. W drugim rodzaju, autor, obrawszy sobie mecenasa, który podług wszelkich reguł powinien mieć pieniądze, a przynajmniéj być bojnym, stawia go przed sobą, jak złotego cielca, któremu bije czołem i pali ofiary, a któremu się ani dosyć wydziwić nie może, ani z nim dostatecznie napieścić. Na całym więc arkuszu, a pod dobry humor i na dwóch, wylicza nieskończone jego zasługi i niezrównane zaszczyty. To go wywodzi od Fabiuszów i Scypionów; to nie uważając, że transfuzya zakazana, leje mu w żyły prawdziwą krew Medyceuszów, Jagiellów, lub Wazów; to go nakoniec równa talentem i męztwem z Cezarem, cnotą z Katonem, sprawiedliwością z Arystydem. Krótko mówiąc, widzi w nim jasno-gorejącą pochodnią, która blaskiem swoim ćmi i gasi wszystkie a wszystkie historyczne światełka: a ten Cezar, Arystyd, Kato jestto JW. starosta, skarbnik, piwniczny, lub podczaszy. Ja, żebym w niczém od chwalebnych, bo powszechnie przyjętych, zwyczajów nie odstąpił, postanowiłem zacząć także od pochwały. Radbym się więc najpierwéj sam po-

chwalił, ale nie śmiem: bo słyszałem nie raz rozmawiających pomiędzy sobą przyjaciół moich, że jestem z przyrodzenia skromny i wstydliwy; a całebym nie rad tak zacnym ludziom fałsz zadał. Nie mogę także chwalić dzieła, któregom jeszcze nie napisał, i które czytelnikowi tylko małemi kawałkami wydawać myślę. Nakoniec gdybym się sam chwalił, mogliby rozumieć koledzy moi, których nadewszystko poważam, że im nieznacznie przymawiam; co mi nigdy nie postało w głowie. Więc pochwałę nie prosto siebie, ale przymiot w sobie najdroższy, przymiot, którym zapewne żadnego pisarza nie obrażę. Nie dla tego, żeby im zbywało na tym talencie, ale że się przez skromność żaden do niego nie przyzna. Chcę mówić o próżniactwie i włóczędze. Są to oddawna moje ulubione zatrudnienia; więc zaraz do ich pochwały przystępuję.

Pochwała próżniactwa i włóczęgi.

Nic nie masz przyjemniejszego, nic właściwszego, dla dobrze urodzonego i przystojnie wychowanego człowieka, nad próżniactwo: zkąd i przysłowie urosło, że chłop stworzony do pracy. Dorozumieć się należy: Pan do odpoczynku. Otoż ja, dzięki Bogu, jestem z tego względu pan nad panv; całą gębą pan; bo od rana do wieczora nic nie robię. Słyszałem, że Włosi zupełnie są mojego zdania, i nazywają próżnia-

ctwo najwyższą roskoszą, *Il delizioso non far niente*. Co pokazuje, że jakkolwiek narody pomiędzy sobą się różnią, prawda jest jedna na całym świecie. Ale naco nam próżniactwa we Włoszech szukać? .... Natura bynajmniéj nie upośledziła ani kraju, ani miasta naszego w téj mierze. Owszem, powiem bez przesady, żebyśmy śmiało i z włoskiemi miastami o pierwszeństwo iść mogli. Byłby to nowy, a całe nie pospolity zawód do chwały. Ale chcąc się puścić w ten zawód, trzeba jakiekolwiek o nim powziąć wyobrażenie. Rozliczne albowiem są, i niemal nieprzebrane rodzaje i sposoby próżnowania, które gdyby wszystkie opisać przyszło, mało jest w kraju naszym i papieru i papierni; owszem i na wołowych skórach ciężkoby spisać. Zatém ja wyliczać ich w teraźniejszéj pochwale nie myślę, która, właściwie mówiąc, nie tak powinna być pochwałą, jak podziwieniem. Bo próżniacy zawsze się dziwią, gdy chwalą. I w rzeczy saméj, na jakąż lepszą pochwałę próżniak zdobyć się może? Zadumieć się, ręce założyć i gębę otworzyć; albo wznieść oczy do góry, i głową kiwnąć; oto są najwłaściwsze i najnaturalniejsze jego pochwały. To wszakże, jako cokolwiek podeszły i nie zawsze trzymający próżniak, uważam: że, jak każda umiejętność, a mianowicie kunszt każdy ma swoje zasady, swoje niecofnione prawdy, i swoje prawidła, tak i próżniactwo jest prawdziwym kunsztem, prawdziwą umiejętnością, która ma swoje wynalazki,

swoje prawa, swoje niezawodne prawdy; a tych się uczyć potrzeba, chcąc umieć próżnować, zwłaszcza próżnować rozkosznie. Owszem, jako każda umiejętność, jak tego uczeni ludzie dawno, bynajmniéj nie chwaląc, dowiedli, jest niezgłębiona, i całego życia, całego poświęcenia się człowieka wymaga; tak śmiało powiedzieć można, iż nie masz obszerniejszéj i mniéj wyczerpanéj nad naukę próżnowania. Téj można, nie już zwyczajny i krótki nasz wiek, ale Matuzalowe lata poświęcić; nie lata jednego, ale milionów ludzi; a dlatego ta nieskończona nauka ledwo będzie zaczęta. Cóż dopiero mówić o jéj powabach! Poświęcamy się téj niewyczerpanéj rozkoszy od urodzenia aż do zgonu, a przecie umieramy niesyci. — I któżby się nią nasycił? — Dziwno mi, jakim sposobem uczeni teraźniejsi, którzy przez gospodarskie widoki najmniejszą odnogę wiadomości ludzkich na liczne dzielą katedry, nie obmyślili dotąd żadnéj dla tak wielkiéj nauki: widać oczewiście, że albo z tego szanownego kunsztu robią przed pospólstwem tajemnicę, trybem kapłanów egipskich; albo ciągłemi postrzeżeniami i doświadczeniami zajęci, nie mają czasu pisać i nauczać. Są to w tym względzie prawdziwi empirycy; rodzaj mędrców, który teraz dosyć jest w modzie, a który oddawna poświęconym trybem siebie tylko chwali, mając wszystkich innych za dosyć głupich. Szanując zatém tę uczoną modłę, ale troskliwi o postępek i doskonałość umiejętności naszéj, wzy-

wamy wszystkich próżniaków niecnopiryków, aby nam postrzeżeń swoich udzielali.

Bajali uczeni, że starożytni, mianowicie Egipcyanie i Grecy, bardzo byli biegłymi we wszystkich kunsztach i naukach, i nam w téj mierze wzory do naśladowania zostawili. Przecież nie wiem i nie słyszałem, żeby nam zostawili ważne jakie dzieło o próżniactwie. Owszem, nie trudno się przekonać, że lud ów bałwochwalczy nie dosyć szanował tę cnotę. Bo gdy innym wszystkim, złodziejstwa nie wyjmując, właściwe ponaznaczał bóstwa, posągi i ołtarze stawiał, próżniactwu nie nadał żadnego. Lenistwo albowiem, pomiędzy drobne policzone bóstwa, i miane za córkę snu i nocy, bynajmniéj nie odpowiada wielkości i ważności rzeczy. Ani nie wyrażę jéj przyrodzenia: bo próżniactwo (niech to nikogo nie dziwi) niekiedy bardzo jest czynne. Morfeusz także niewart był bogiem próżniactwa; bo sen potrzebny za nic się nie liczy; zbyteczny zaś choć jest próżniactwem, ale niemiejętném i źle zrozumianém. Gdyż niedołężni tylko i chorzy mogą w nim znajdować smak i rozkosz; ale uczeni próżniacy gardzą nim, i słusznie. Sen albowiem jest właściwie nieczuciem; a zatém rozkoszą być nie może, która zależy od czucia przyjemności najwyższéj. Więc czuwając tylko a próżnując, podług wszystkich wytwornego kunsztu prawideł, można, że tak powiem, żyć próżniactwo ze smakiem, i w niém się rozpływać. I my wprawdzie Palemona następcy, nie ubóstwiamy

próżniactwa jawnie i publicznie, ale tylko w duszyczce. Nie stawiamy mu niby świątyń i ołtarzów; wyrzekamy się go uroczyście, . . . ale to wszystko żartem . . . wszystko na oszukanie świata. . . . . Jesteśmy ludźmi, a ludzie zawsze tają co jest najmilszego ich sercu. Litóż się naprzykład popisuje z miłością? . . . . ze zbiorem pieniędzy? . . . z projektami ambicyi lub domy? . . . Otóż i my ubóstwiamy próżniactwo, ale potajemnie: palimy mu ofiary, ale je innem ozdobnem pokrywamy imieniem. Nasze na przykład spacerowe ogrody i place; nasze bilardy, kawiarnie, winiarnie, szynki, kasyna i t. p. nie sążto bożeiczki poświęcone próżniactwu? Powiedzmy prawdę: każdy i każda z nas oddaje winny hołd temu bóstwu, ale każdy i każda inaczéj; lubo nikt się przyznać do tego bałwochwalstwa nie chce. Wy np. z fajką w ustach, to poważnie po izbie stąpający; to się rozwalający po kanapach i sofach; to w oknie znakomicie leżący próżniacy, komuż palicie tytoniowe kadzidło, jeżeli nie mojemu bóstwu?... Wy cały dzień się przechodzący, albo po godzin kilka odpoczywający na placu lub bulwarze panowie i panicze; kiedy się wytrzeszczonemi oczyma wpatrujecie we wszystkich przechodzących, lub głęboko rozmyślacie nad płynącą Wilią, do kogo się modlicie? Wy po całych dniach w kawiarniach i po bilardach na rozmowie czas trawiący próżniacy, nie jesteście prawdziwymi ofiarnikami w świątyni ulubionego bożyszcza waszego? . . . Wy ludzie bez

celu, włóczący się dzień cały z domu do domu, wszędzie łowiąc, zbierając i roznosząc nowinki i plotki; wy pilni czytelnicy gazet; podług nich urządzający świat polityczny; wy dni i wieczory przy kobiétach przepędzający starzy trefnisie; wy wymuskani i ustawicznie się przed każdém zwierciadłem muskający gladysze; wy perfumowane laleczki, wy wycackane balwanki . . . Wy, przykute do stołów i stolików, wywiędłe, wyblade, zaziajane i ledwo dyszące kostery . . . Wy uczeni i głęboey rachmistrze wszystkich podobnych zdarzeń i wypadków bostona, wista, tryktrak, arcabów i szachów . . . . Wy na wyjście możnych wieczne w przedpokojach dybiący aspiranci . . . Wy tuzinami po rozmaitych kancellaryach od rana do wieczora gryzący to pióra, to pałce, applikanci . . . Przystąpcie do mnie, bracia kochani, niech was wszystkich, jako towarzyszów, uściskam: wszyscyśmy tego samego bractwa, tego samego rzemiosła. I waszym mógł uściskać panowie wojskowi, zwłaszcza podczas pokoju; i was, przewielebni ojcowie, po nabożeństwie: ale wam dam pokój, nadto sie dla mnie poważni.

Lecz ustąpmy wszyscy, kochani kolledzy moi, uczonym towarzyszom naszym, których talenta świat cały szanuje i ceni wysoko! . . . Uchylcie głowy . . . Czy widzicie owych uprzywilejowanych ulubieńców bożyszcza naszego? Patrzcie, jak jeden z nich, napięty jak strona, obiedwie nogi pod sznur na prościuteńkiéj ustawił linii . . . widzicie z jakim wdziękiem jedną w takt

czule i wymownie podnosi!... jak ją ładnie spuszcza! i jak lekko cały rozpięty na samych zawiśl palcuszkach!... Zdaje się, że leci... a tenże drugi na jednej linii, jak na ścianie rozpostarty, trzymający w jednej ręce guzikiem zakończony rożenek, którym do przeciwnika swojego mierzy: kiedy druga na powietrzu, rozciągniona powiewać się zdaje. Patrzajcie: jak się wypina, z jakiém natężeniem prawą nogą tupa! Coto za talent! Jaka zasługa! Wszystko to wszakże jest niczém w porównaniu z głębokim owym artystą, który cudów dokazuje na sznurku, przez stoły i obręcze skacze; na stołku i przy stoliku na linie siada; owszem jak proszony je i pije najsmaczniéj, a rzadko kark skręci!... Teraz powiedzcie, proszę, umiłowania tych wielkich ludzi, czy nie są pracą?... a ta praca nie jest próżniactwem? A tak widzicie w doświadczeniu, jak lenistwo i próżniactwo są dwie rzeczy różne! jak można być bardzo pracowitym próżniakiem, bardzo uczonym hultajem... Do tegoto cechu mógłbym zapisać i wielu uczonych, gdyby przyszło po akademiach i uniwersytetach pomacać... Ale dajmy już pokój, bobym téj niewyczerpanéj materyi nigdy nie skończył... Naco nam szukać kollegów, kiedy nimi napełniony świat cały. Kochajmy się tylko wszyscy, nie wstydźmy się jedni drugich, nie wyrzekajmy się piękności naszéj nauki, a zobaczycie że nie siła naszéj nie wyrówna.

Teraz zaś do ciebie się obracam, płci piękna; przyjmij hołd i uszanowanie moje najgłęb-

sze. Niesprawiedliwie mężczyzni wszystkie talenta i nauki sobie przywłaszczyli. Mniemani uczeni utrzymywali i utrzymują, iż nie jesteś stworzona do umiejętności głębokich, które usilności i mocnéj wymagają uwagi . . . . Co téż ci bakałarze bredzą!... Nikt najpierwszéj i najobszerniejszéj ze wszystkich umiejętności, to jest kochanéj mojéj nauki, lepiéj od ciebie nie posiada; owszem, ty tylko jedna znasz czyste i prawdziwe téj umiejętności zasady: bo ty tylko prawdziwie rozkosznie odpoczywać umiesz. Tak téż tym nędznym nudziarzom mogło przyjść do głowy, że więcéj od ciebie umieją! . . . Wy więc napuszeni i zaufani w sobie, mędrcy mniemani, przystąpcie do mnie, ja was wywiodę z błędu; pójdźcie ze mną do gotowalni Temiry... pójdźcie do niéj na wieczór lub herbatę . . . . A co? — gdzie wasza nauka? . . . Ugnijcie, krnąbrni, kolana, schylajcie harde karki, i wyznajcie, bluźniercy, żeście zwyciężeni . . . Czyż całe wasze nudne ślęczenie i niepotrzebne suszenie mózgu warto jednéj filiżanki herbaty, którą wam biała rączka Temiry podaje? . . . Czy pojmujecie, niedołężne głowy, wieleto ta białość, okrągłość, i pulchność rączki, kosztuje starania, zabiegów i nauki? . . . A tę naukę czy objął z was który? Czy byliście choć w przysionkach tego wielkiego przybytku? Zastanówcie się teraz i pojmijcie, jeżeli możecie, że Temira nie potrzebuje do swojéj gotowalni więcéj nad trzy godziny. . . . że cztéry tylko Nimfy nad przy-

gotowaniem jéj ubioru dzień i noc pracują; . . że nie spoczywa w zachwycającém łożu nad godzin dziewięć. . . . . że godzinę jest na spacerze, dwie z wizytami, dwie na teatrze; że pięć godzin przyjmuje, bawi się, jé obiad i pije herbatę, a dwie zamknięta, uczenie, na miękkiéj odpoczywa sofie. Jakto, powiecie: uczenie? Jak to? oczewiście: bo naukami się bawi; to jest leży z książką w ręku; albo z książką otwartą na obok stojącym stoliku. Ale książka jest romansem, opisaniem podróży w listach, lub nową paryzką operą albo komedyą. A ta książka jest naturalnie francuzka. A na tę książkę . . . ladaie przewracając karty. Temira kiedy niekiedy od niechcenia spogląda . . . Od niechcenia: bo co moment kto przerwie; bo ten natręt szambelanie, często nic opowiedziawszy się, wpada, i najpiękniejsze kawałki*) przerywa! . . . . Ale cóż robić, kiedy się tego natręta pozbyć nie można; kiedy to jest chłopiec dobrze urodzony, dobrego tonu, zawsze wyperfumowany, i przecudnie tańcuje!

Pochwała się kończy doniesieniem.

Ale nie sama Temira posiada rzadki, przyjemnie nic nie robienia, talent, czyli w stylu te-

*) Przepraszam: zapomniałem, że powinno być: *passacie*.

chniczym: talent bawienia się. Cała jéj pleć téj jedney umiejętności oddana, o niéj tylko mówi, robi ciągle doświadczenia, i wynajduje bez przerwy coraz nowe narzędzia, coraz nowe bawienia się sposoby. Cóż strata dla oświecenia i postępku w gładkości, że tak wiele, tak ważnych i tak dowcipnych wynalazków ginie dla świata. Owoż właśnie ażeby temu zaradzić, ażeby się rzuconéj na swoją pleć obelgi na bakałarzach zemścić; Kilimena, najczystszym ożywiona duchem, pałając najszlachetniejszą miłością honoru płci swojéj, otwiera nowe towarzystwo, które wszystkie postrzeżenia i wynalazki, w pięknéj bawienia się sztuce, zbierać, w pamiętniki układać, i te, od niechcenia, kiedy niekiedy, ogłaszać myśli. Dotąd zapisują się do towarzystwa tego coraz nowe członki, rozdają urzędy, i stanowią organiczne prawidła. Brakuje tylko sekretarza: bo któraż by biała rączka walać się w atramencie chciała? a potém redakcya rzecz tak nudna!... Trzeba więc na to mężczyzny... Przyjmują się wprawdzie i ci do towarzystwa, ale prawa nie wymagają, żeby pisać umieli, jak się to niżéj z ogłoszonego kodexu pokazuje... Widząc zatém tak piękne i ważne miejsce próżne, przyszło mi na myśl podać się za kandydata; ale za pierwszém wyrzeczeniem szubrawskiego mojego nazwiska, całe zgromadzenie jednogłośnie zawołało *a pfe!*... Uczona wszakże Kilimena zabrała głos na moję obronę, upewniając, iż mimo nikczemnéj figury, i wcale niepoczesnéj

miny, mam w sztuce bawienia się i odpoczywania niepospolite i wielu członkom już znajome zasługi, tak dalece, że mimo uprzedzenia zdania członków dzielić się zaczęły. Aż do przyszłego więc posiedzenia poruszę wszystkie sprężyny, oddam ranne uszanowanie wszystkim członkom, trochę przy gotowalniach poskaczę, plotek naniosę i płac bez wątpienia otrzymam. Widzisz tedy, czytelniku, jak z tego źródła drogich dla ciebie mogę nazbierać wiadomości! I prawdę mówiąc, robię to jedynie przez przywiązanie do ciebie: bo któżby kazał próżniakowi być sekretarzem i redaktorem bezpłatnym? Wiesz, że my próżniacy o płatne się tylko i dobrze płatne ubiegamy miejsca, i od wieków przekonywamy świat cały, że się nam wszystkie wyłącznie należą, jako ludziom w kraju najzasłużeńszym. A ja z mojej strony zupełnie jestem tego zdania, i poprostu tak twierdzę: iż nie masz nad nas słuszniejszych ludzi.

P. S. Przypomniałem sobie wprawdzie, żem miał razem pisać pochwałę włóczęgi, ale ponieważby to na próżniaka było zawiele naraz, więc odkładam to na czas późniejszy. Teraz zaś żem o tobie czytelniku wspomniał, więc do ciebie mowę obracam.

Przemowa do czytelnika.

Wiesz, kochany i najdroższy mój czytelniku, iż nie można i nie godzi się zaczynać

żadnego dzieła, bez przemówienia do ciebie. Naturalnie los nasz, biednych autorów, od ciebie zawisł i w twoim jest ręku zupełnie. Z polityki więc wypada, skarbić naprzód twoje względy; a zatém oddać ci winne uszanowanie, i na samym wstępie poumizgać się trochę do ciebie. Chcąc ci się zaś należycie zalecić, wypadałoby te umizgi rozciągnąć przynajmniéj na arkuszu; wyliczyć wszystkie twoje zasługi i przymioty, nazywać cię bezprzestannie uczonym, dobrym i łaskawym, a potém i o sobie nie zapomnieć, i wytłumaczyć ci kto jestem. Mógłbym się naprzykład ułomnością i nieudolnością wymawiać: ale ty, jeżeliś surowy, powiesz, że niepotrzebnie piszę. Potém mógłbym ci wytłumaczyć, jak jestem obowiązkami obarczony, jak mam słabe zdrowie i siły zwątlone; a tu mię zewsząd ciągną, rozrywają, i czasu do pomyślenia nie dają. — *Dziennik* sobie . . . Tygodnik sobie. . . Szubrawcy nie dają odpoczynku . . . . wszystko piszą a piszą . . . człowiekby nie wystarczył, gdyby nawet pisał jak Herkules. Przytém mam rozpoczętych kilka dzieł ważnych: Zrobiłem dwie sceny do komedyi; pół ostatniego aktu wielkiéj tragedyi; zacząłem całkiem nową operę: nowym i niespodziewanym romansikiem myślę płeć piękną zadziwić, czyli raczéj zrobić jéj *surprizę* i t. d. Wszakże to są ważne bardzo wymówki, i w taki odziawszy się płaszczyk, mógłbym jak drudzy bezpiecznie źle pisać. Ale poco mi te wymówki? . . . Wiesz kochany czytelniku, iż jestem

twój uniżony i najpokorniejszy próżniak; iż umyśliłem wprawdzie opisać ci moję po bruku włóczęgę, ale po próżniacku, lubo sposobem nie pospolitym; bo próżniacko-filozoficznym. . . Otóż i najlepsza przemowa.

Jakto, zawołasz, być może filozofia z próżniactwem razem? . . . Dlaczego nie? . . . wiesz, jak częstokroć najprzeciwniejsze na pozór rzeczy w istocie ściśnie się z sobą łączą; a zatém bądź pewien, że największa część filozofów należy do naszego bractwa, i gdybym któregokolwiek z nich dopadł, serdeczniebym go uściskał. . . *Diogenes* na przykład, co w beczce całe życie siedział, to był nasz patryarcha. A że z latarnią człowieka wśród dnia szukał, cóż to innego znaczy, jeżeli nie to, że nie mógł nikogo znaleźć, któryby choć w części, do nas nie należał. A owiż filozofowie, co rozprawiali i rozprawiają, to przechodząc się, to siedząc, to drzymiąc, lub ziewając, o rzeczach, których nigdy rozum ludzki zgłębić nie może, nie sąż to nasi koledzy? Otóż, im się głębiej nad rzeczą zastanawiać będziesz, tym się mocniéj przekonasz: że próżniactwo jest samą treścią, samym szczytem, i najwyższą doskonałością filozofii; czyli, krótko mówiąc, stanowi w niéj prawdziwą *transcendentalność*. Zkąd wnoszę, podług całej ścisłości logiki szkólnéj, iż będąc duszą filozofii, jest duszą wszystkiego.

Teraz że powiedz, czytelniku kochany, jak się w niém nie rozpływać! A że ty, podług

świadectwa wszystkich piszących i drukujących dziwnie jesteś przenikliwy i dowcipny; więc w oczach ci czytam, jakeś się już domyślił, że całe opisanie mojéj podróży będzie bałtajskie; a ponieważ na tém prawdziwa gruntuje się doskonałość i piękność, więc i ty, jak możesz, zewsząd czytaj i bądź zdrów, aż do przyszłego zobaczenia się z sobą.

ROZDZIAŁ II.

Przemowa do Szubrawstwa.

Muszę wam też nakoniec powiedzieć, moi wielce Mościwi Panowie i Bracia, że od początku waszego zgromadzenia i pierwszego pokazania się Wiadomości Brukowych, wszystko robicie ni w pięć ni w dziewięć. Skojarzyliście się niby dla tego, żeby pisać i drukować; zebrało się was co nieniara.... i cóż robicie? Ledwo raz na tydzień dajecie znak życia, i to znak bardzo słaby. Bo cóż znaczy półarkuszowy świstek? Co mi to za owoc? — gdzieindziéj, jeden autor co dzień, jak rzéka wezbrana, ogromne płodami swojemi zalewa arkusze, a koncepta sypie jak z worka. Was ledwo kilkunastu jednę ćwiartkę skleci i urodzi, a i to w bólach; a bóle to trwają cały tydzień; a potém jeszcze często i ćwiartka jest niczém. Wszelako to niech między nami zostanie.

Ale gdyby też wam, jak uczonym sąsiadom naszym, z pisania żyć przyszło i chwytać po kilka talarków za arkusz druku.... tedyby dopiero był post z suchotami! — Czemuż przynajmniej, zapatrując się na piękne wzory krajowe, nie wydajecie waszego pisma na owych obrusach, jakie Jehmość adwokaci nasi wymyślili, a na których zaledwo najdrobniejszym drukiem samę treść głosów swoich mieszczą. Nie raz patrząc na te papierowe obrusy myślałem: wieleto do jednego takiego arkusza galganów wnidzie! — Bo jużci wam tego tłumaczyć nie potrzeba, że papierz galganów się robi. Miły Boże! jakto każda rzecz ma swój użytek! Widzicie, że i galgany na coś się zdadzą! Bez nich nie byłoby owych ogromnych głosów, ani pozwów, ani manifestów, ani dekretów. Kancellaryom i pisarkom sądowym byłoby źle. Upadłaby wymowa; drogi dar niebios! A kto wie? możeby i nauki upadły, i uczeniby z głodu wymarli. Nadewszystko, szkodaby była historyi. Ludzieby nie wiedzieli, że się przed dwoma lub trzema tysiącami lat tak oszukiwali, zabijali, rabowali, łupili i okradali, jak teraz; że siebie zawsze mieli za oświeconych, a resztę ludzi za barbarzyńców i t. d. Przecież ta wiadomość jest droga i istotnie potrzebna: bo doświadczenie tyle wieków pokazało; bo wszyscy mądrzy ludzie powiadają: że to jest jedyna dla nas szkoła; że w tej szkole formują się ludzie; a niektórzy bardzo uczeni dowiedli, że bez historyi niby nie można umieć, nie począć, że nawet

szewcom istotnie jest potrzebna. I prawda: dawniejsi ludzie tak sobie nawzajem hóty szyli, jak my teraz. Owszem robimy to coraz lepiéj. Bo choć przodkowie nasi byli lepsey, ale my jeszcze lepsi.

A potém, broń Boże, by nie było papieru! w coby się obrócily owe ogromne kancellarye, biura i tym podobne hazgralnie? Cobyśmy chudzi autorowie robili? Na czémbyto drukować Wiadomości Brukowe?.... Niech żyje papiér!... niech żyją galgany!.... Iuło winniśmy, że się tak wydoskonalila sztuka pisania prędko. Piszemy teraz tak szybko, że nie mamy czasu i myśleć. Gdzieżtu starożytność może się równać z nami! U dawnych pisano powoli i z wielkiém mozołem. Prawda, że są ludzie z niczego niekontenci*), którzy powiadają, że właśnie dla tego w ich pismach więcéj jest myśli i lepiéj oddanych. Ale pytam się: co głodnym autorom do myśli? Ich zarobek i sława rachuje się na arkusze: i kwita. Tymczasem mniejsza o to: bo ja właśnie co innego do was mam mówić.

W. Panowie, Panowie koledzy, nazwaliście pisemko swoje Wiadomościami Brukowemi. Żeby też w niém choć wzmianka o bruku! — A przecież to powinien być skład wiadomości zebranych na

---

*) Za ten wyraz najpokorniéj przepraszam wszystkich lichmościów nieukontentowanych i niezadowolonych. Niech im Pan Bóg nie pamięta.

bruku. Ale wyrodziliście się, moi Panowie; odstąpiliście pierwiastkowego zamiaru: walęsacie się po całym świecie; wszędzie was pełno, zwłaszcza po jakichś wyspach, których w żadnéj jeografii znaleźć nie można. Bo przecież sam widziałem, jak się sędziwi, światli i dostojni ludzie męczyli z okularami na nosach, szukając po mappach waszych wysp: Nipu, Baluibarby i Perorady. Przecież to, Mości Panowie, nie godzi się żartować z ludzi słusznych! Bywacie w Chinach i Japonii; licho was nosi to na łopacie, to na stępie, to na miotle; a na bruku wileńskim ani węż. Za żadne was tam pieniądze nie dostanie. Krótko mówiąc, Panowie kolledzy, nie lepsiście jak drudzy; wszystko lubicie robić oprócz waszéj powinności. Otóż ja was chcę koniecznie poprawić i do téj powinności zwrócić; nie nakazem, nie gwałtem, ale przykładem.

Czy ja szalony z wami na łopacie albo na miotle jak czarownik latać, i nie wiedzieć czego po komianach łopatę wycierać, kiedy ja tu na bruku znajduję skarby... Oh! skarby niepozbrane!... Co krok to wynalazek! gdzie się obrócę, to jakieś nowe postrzeżenie, nowa zdobycz! — Wierzcie mi, moi Panowie, fraszka Peru i Potozy; nie masz na całéj ziemi bogatszéj miny nad nasz bruk wileński. A jeszcze, z przepraszeniem W. Panów, jest to mina nietknięta. Do tego, jaka łatwa!... Żadnéj nie potrzeba pracy, uważajcie tylko...

Wyprawa pierwsza.

Ja sobie po śniadaniu, czy obiedzie, a czasem i głodny, dla łatwiejszego toku filozoficznych myśli, nastroiwszy jako tako czub na głowie, i ręce za pas zatknąwszy, wychodzę... i zwolna poważnym postępuję krokiem... Mina mądra i oko jedno cokolwiek przymrużone; spoglądanie z ukosa to w lewo to w prawo, to po drzwiach, to po oknach, daje znać każdemu znającemu się na rzeczy, że idzie krytyk... postrzegacz... Szubrawiec.

Coto za szczęście nosić na sobie jakąś dostojność, mieć u publiczności wziętość, lub być okrzyczanym za coś zawołanego! Ledwom wyszedł na ulicę, zaraz wszyscy na mnie zwracają oczy. Jedni drugich ostrzegają, to mrugnieniem, to szyknieniem, to kiwnieniem ręką lub głową i dają znać, że idzie owo rzadkie cudo, ów dziwoląg, którego poważają lub którego się boją.

Robi się jakiś szmer, jakiś ruch na ulicy. Jedni zmykają w stronę gdzie mogą; drudzy wbiegają do domów, do których iść nie myśleli; ci przebiegają co prędzej nacisnąwszy czapkę lub kapelusz na oczy; tamci stawają jak wryci, lub przechodzą z spuszczonemi na dół oczyma. Tu sobie coś szepcą do ucha i zatrzymują się nieznacznie, dla lepszego obejrzenia mię naokoło; tam, skorom przeszedł, słyszę, że się z cicha, a czasem do rozpuku śmieją. Tu i ówdzie widzę otwierające się w oknach szybki; widzę... jak

przez nie wylażą to ogromne czuby, to świetne łysiny, to ozdobne peruki, to wymuskane wąsiki, to najeżone pejsaczki, to ładne czepeczki. Czasem widzę wytkniętą nieszpetną główkę, która prosto wlepia we mnie oczy; częściéj jednak jakąś minę zakazaną, jakiś dziwoląg, na który spójrzeć bez przeżegnania się nie można. Ciężko nawet pomyśleć bez strachu, jak mię wytłupionemi oczyma pożerać się zdaje, jak mię od stóp do głowy mierzy. W gruncie atoli wszystko mię to łechce i głaszcze po sercu. Wie'zę, że mam swoje znaczenie. Zdaje mi się, żem człowiek niepospolity. A!... o toż nam tylko w życiu i chodzi.

Są, którzy mi się przechodzącemu nisko kłaniają; inni omijają z uśmiechem, a ten uśmiech wielorakie ma znaczenie. Jest on najczęściéj z przekąsem i niekiedy z urąganiem, a czasem i z pogardą. Niektórzy wyraźnie mię łają oczyma... Na ów czas nieraz westchnę i pomyślę... Miły Boże! mają swoje dolegliwości i ludzie sławni: bo albo nie mają pokoju, albo przyjaciół; a najczęściéj ani jednego ani drugich.

Ktoby miał sprawne oko, jakąkolwiek znajomość ludzi i bystre pojęcie, łatwoby zgadł i osądził ze sposobu, jakim go spotykają rozmaite snujące się po mieście figury, kto czém jest i co wart w swoim gatunku. O! gdybym ja był Lawaterem, wielebymto ja w twarzach, które spotykam, wyczytał tajemnic! wiele zgadł skrytych poruszeń serca i umysłu? Ale nie zazdrościmy

mu: bo powiadają, że i on nie bardzo zgadywał... Co... gdybym był botanikiem, albo raczéj zoologiem i umiał ich język, wytknąłbym cechy każdego chodzącego po kraju stworzenia, umieszczając je zawsze w przyzwoitym i właściwym rodzaju i gatunku. Przez to nie małąbym zrobił publiczności przysługę: bo ktokolwiekby wyszedł na ulicę, lub nowo przybył do miasta; tedy z moją wileńską zoologią w ręku takby chodził po ulicach, jak po własnym pokoju: natychmiastby wszystko i wszystkich poznał i należycie oznaczył. Jakiżby to dopiero był skarb dla filozoficznych próżniaków, nieoszacowanych kollegów moich! Każdy z nich z księgą w ręku, czy wszedłszy do kawiarni lub winiarni, czy siadłszy na ławeczce pod ratuszem, czy oparłszy się o róg ulicy, widziałby w mojém dziele i siebie i otaczających się bliźnich, jak w zwierciedle. Ale cóż? kiedy Pan Bóg nie dał człowiekowi tego pojęcia i téj nauki! Próżno narzekać na losy! — Trzeba zostać czém kto jest i ratować się w swojéj niedołężności, jak można. Otoż właśnie i ja się tak ratuję... Poznaję ludzi i oznaczam, co kto zacz? moim własnym, ale szczególnym sposobem, którego nawet opisać nie umiem.

Jest to jakiś szczególny dar niebios, nie wiem czy instynkt, czy węch, czy jaki zmysł nowy, którym mię przyrodzenie uposażyło, tak jak magnetystów osobliwym owym darem nadziewania materyą magnetyczno-zwierzęcą tych, nad którymi machają rękami i którym pszykają w oczy.

Wszakże głębiéj się zastanawiając nad rzeczą, rozumiem: że to jest doprawdy szósty zmysł, do magnetycznego, nie śmiéjcie się tylko, dosyć podobny. Bo uważajcie proszę. Jak uprzywilejowani jasnowidze wskroś przeglądają ludzkie wnętrzności i co się gdzie w człowieku dzieje, widzą jak na dłoni, patrzą na każdą żyłkę i uważają jak się sprawuje, rozmawiają z każdym nerwem, który im objawia tajemnice dla zmysłów i rozumu niedostępne; a na te wszystkie cuda prosto patrzą przez brzuch, jak przez teleskop na gwiazdy — tak ja, nie brzuchem wprawdzie, ale długiem i cierpliwém wlepieniem oczu, poznaję i zgaduję, co kto wart. Zastanówmy się daléj: bo ważnych postrzeżeń nie wypada puszczać bez uwagi.

Coto za ważny wynalazek ten nieoszacowany magnetyzm!... Od stworzenia świata cały rodzaj ludzki gruby i nieoświecony, oczyma na rzeczy patrzał i głową o nich sądził. I cóż z tego? Oto, jak wiecie, zawsze się mylił, zawsze bredził. Teraz przecie wiemy zkąd błędu początek. Bo ktoźby się był przed wynalezieniem pacykania w oczy domyślił, że nie oczyma patrzeć, nie zmysłami dochodzić, nie głową sądzić należy: ale brzuchem. Pokazuje się, że on choć długo lekceważony, więcéj wart w istocie, jak wszystkie głowy razem: w nim prawdziwéj mądrości i nieomylności początek!... Teraz wróćmy do mego zmysłu.

Nie wiem wprawdzie, na czém istota tego

szóstego zmysłu zależy: ale mi się zdaje, iż siedlisko jego nie w głębi brzucha, jak pojęcia magnetystów, ale w zmysłach i w głowie razem. Nim tedy uczeni ten nowy zmysł pojmą i wytłumaczą, czego zapewne nie zaniedbają; ja go tymczasem, za twojém kochany czytelniku pozwoleniem, nazwę *Zmysłem Szubrawskim*. Nie jest on tak bystry, jak magnetyczny, który widzi co się dzieje o sto mil; przegląda brzuchem przez mury i ściany; czyta zapieczętowane listy i zamknięte książki od deski do deski; owszem komponuje traktaty metafizyczne, albo raczej transcendentalnéj filozofii. Nie jest tak uczony, bo zmysł magnetyczny widzi w człeku choroby, a to (Miły Boże!) takie same, jakie mamy w szkołach i książkach lekarskich; przepisuje lekarstwa... znowu cuda!... kubek w kubek takie jak nasi doktorowie.

Zkąd się pokazuje, jak jest doskonała tego zmysłu mądrość, bo o chorobach i lekarstwach umie właśnie tyle, ile doktor, do którego przemawia.

Mój zaś zmysł wcale, kochany czytelniku, nie jest tak mądry: bo jak inne zmysły, często się myli, często zawodzi. Ale, nie chwaląc go, czasem dosyć jest przenikliwy; czasem trochę śmieszny: zawsze jednak wygodny. Bo cobyto był za ambaras chcąc np. kogo podług Linneusza determinować: zatrzymać go na ulicy i rachować mu zęby; albo szperać i dochodzić wiele ma zoiądków i jakie? śledzić, czy należy do zwie-

rząt ssących lub całkiem pożerających? czy się czołga lub nadskakuje? czy lata pod obłoki lub pełza w błocie i t. p. Kiedy ja za pomocą Szubrawskiego zmysłu, nikomu nie zaglądając w zęby, powoli i nieznacznie wszystkiego dochodzę... nie z dostateczną wprawdzie pewnością, która jest wyłączną własnością snowidzów, ale z niezłém czasem przybliżeniem do prawdy.

Ale spytasz się może, kochany czytelniku: na czém się ta wyprawa skończy? Gdzieśm tą razą zaszedł?... Nigdzie, odpowiem: bom zabrnął w próżniacko-filozoficzne uwagi, a tymczasem deszcz lunął i musiałem wrócić do domu.

ROZDZIAŁ III.

Wyprawa Druga.

Deszcz ustał, a pięknie wypogodzone niebo wzywało znowu próżniaków do przechadzki. Wyszedłem więc na ulicę, a nie zachodząc ni w prawo ni w lewo, mijając wszystkie kawiarnie i winiarnie, o których się tyle pięknych rzeczy w Wiadomościach Brukowych naczytać można, szedłem zwolna prosto pod ratusz. Bruk był spłókany i czysty, a wezbrane rynsztoki szumiały nakształt Alpejskich potoków. Powiadają zaś i piszą powszechnie, że szum wody wprawia w zamyślenie i do snu prowadzi. Co i ja często sprawdzałem na sobie. Zdarzało mi się albowiem, przy spiewniących potokach lub mruczących strumieniach mocno zadumać i nic nie myśleć. Co jest gatunkiem próżniackiej rozkoszy, którą jako całe niewinną, najmocniej kollegom moim zalecam.

Zadumałem się więc i teraz, alem na tém nie najlepiéj wyszedł. Chociażem albowiem ten raz zupełnie wystąpił incognito, żeby czasem szubrawską moją miną wszystkich nie oburzyć albo nie straszyć; nie obeszło się wszelako bez przypadku. Bo idąc po mocnym deszczu, szedłem z głową zwieszoną, zwyczajnie jak zmokły, i wybierałem środkiem ulicy większe i suchsze kamienie. Jakiś Jegomość naprzeciw mnie idący, wielki, jak widać, i ważny człowiek, musiał mieć wyłączny przywiléj stąpania po tych kamieniach: bo mię zamyślonego całym ogromem swojéj wielkości tak nielitościwie popchnął i uderzył, żem się o włos nie wywrócił. Zdziwiony i nagle obudzony z zamyślenia, a poczęści i rozgniewany o przerwanie pasma moich dumań próżniackich, podniosłem oczy, chcąc napastnika wylajać. Ale gdym postrzegł rozdąsaną i groźną jakąś minę, a massę ciała dwa razy większą od mojéj, ustąpiłem poniewolnie z drogi, bojąc się, żeby mię czasem nie obił. Jakoż dobrzem się domyślił. Bo właściciel ten środka ulicy miał za sobą innych podobnych rycerzy, którzy mu natleiągali na pomoc. Ledwom albowiem kilka kroków postąpił, zaszedł mi w oczy tą samą drogą jakiś panicz, mogący sobie liczyć lat 28, wielki, jak widać, muzyk. Nócił albowiem dość głośno jakąś piosneczkę pod nosem, a prawą ręką z wielkim zamachem w takt pasztyczki wybijał. Nauczony już ostrożności z poprzedzającego zdarzenia i bojąc się, żeby który z owych pasztyczków na mnie

się nie oparł; nie będąc dotego ani znawcą, ani miłośnikiem muzyki, wcześniem ustąpił z drogi. Wszakże to był, widać, dzień feraluy: bo udaiąc zamaszystemu śpiewakowi, zastąpiłem nie chcący drogę poważnie idącemu Jegomości, który się i z miny i z czupryny panem być zdawał; a który pokazuiąc niezmierne zadziwienie, żem mu śmiał drogę zachodzić, stanął poważnie jak wryty i okiem pełném pogardy dwa razy od stóp do głowy mię zmierzył. Przestraszony zatém, wylękniony i niepewny, co począć daléj, machinalném jakiémś poruszeniem ukłoniłem mu się jak najniżéj — a jeżeli dobrze pamiętam, pokorny mój układ zdawał się mówić: przepraszam, jak najpokorniéj przepraszam JW. pana. Po czém raz mię jeszcze litościwém okiem zmierzywszy, odwrócić się raczył.

Przyznam się, że te przypadki tak mię zmięszały i zbiły z fantazyi, żem się zupełnie aż pod mur cofnął i niemal przylgnął do niego: kiedy i tu tak mię coś nagle i nielitościwie uderzyło w ramię, żem się potoczył i o włos nie spadł; a stary mój kapelusz prosto wpadł w rynsztok. Obejrzałem się nagle i postrzegłem nad sobą głowę końską z ogromną grzywą do wiechy podobną, która mi szybko twarz zmiotła. Jakiś dostojny Jegomość, wparłszy się w boki, jechał dorożką. Jego woźnica z ogromną nakształt kopuły czapką, gwizdał co miał siły i trzymał oburącz lejce; konie zaś trzy zajęły całą ulicę. Jeden albowiem szedł środkiem prosto na północ,

gdzie się i dorożka zmierzać zdawała; kiedy dwa drugie szły zupełnie na bakier i jak na złość, jeden ciągnął prosto na wschód drugi na zachód. Mój zaś kapelusz, co niemało cieszyło rozpartego w dorożce Jegomości, płynął rynsztokiem do Wilii. Żałując więc starego sługi i nie chcąc wystąpić na plac z gołą głową, dałem pokój dalszym postrzeżeniom i puściłem się za nim w pogoń. Jakoż jużem go szczęśliwie doganiał, kiedy wystąpiwszy nagle z bramy pobliskiéj barczysta dziewka, wyrzuciła nań potężny kosz śmieci. Zniknął mi z oczu i rozumiałem, że wśród nieszczęśliwéj swojéj żeglugi w toniach rynsztokowych pogrążony został, lub że z harlogiem razem do Królewca popłynie. Dobrze jednakże stare niesie przysłowie, że złe zawsze wypłynie na wierzch. Bo i on byłby może utonął, gdyby był nowy, ale dziurawy i stary wydobył się zwycięzko na wierzch: a ja czém prędzéj zaś pochwyciwszy cofnąłem się do najbliższéj bramy.

I cóż dziwnego, żem się cofnął? Każda wyprawa ciągnie za sobą rozmaite wypadki i często się na rejteradzie Łoszy. Otóż i ja po tylu fatalnych zdarzeniach, cofnąłem się szczęśliwie i roztropnie do bramy. Prawda, że nieco z gniewem. Pomyślałem albowiem w pierwszym momencie: Co za fatalność! jakie niegodziwe miasto! wszakże chodzić po ulicach nie można! — Gdym się atoli uspokoił; gdy, zbierając wszelkie w cofaniu korzyści, stanąłem na miejscu bezpiecznem z kapeluszem w ręku; gdym się dobrze o mur oparł,

pomyślałem całe co innego. Takto łatwe pomyłki i tak w pierwszém poruszeniu umysłu o niczem, kochany czytelniku, ostatecznie stanowić nie należy.

Przypatrując się albowiem potém, jak wszyscy przechodzący mieli postać znaczącą; jak każdy na siebie przybierał układ niepospolitéj godności i powagi; jak wielu rzucało na mnie okiem podziwienia lub litości, przekonałem się nakoniec: że miasto nasze i pierwsze jest i najszczęśliwsze w świecie: bo z samych zasłużonych, ważnych i dostojnych ludzi złożone. Myślałem dalej, podsuwając się bliżéj pod ratusz, a zawsze pod opieką muru, że ci sami zasłużeni ludzie nie chcą służyć bezpłatnie; ale każdy, nie czekając aż się poznają na nim i podług zasługi szanować zaczną, sam nakazuje, sam z góry wybiera hołd winnego sobie uszanowania i szacunku. Szkoda tylko, że największa część, zapłaciwszy sobie z góry, nie ma potém sposobności i czasu pokazania, co umie.

Ale cóż to dziwnego? Wszak los wszystkiém rządzi. Czasem szczęście uprzedza zasługę; daleko częściéj z nią się rozmija. Rozum zaś nie każe zapominać o sobie, ale na rachunek przyszłéj zasługi chwytać każdą nawijającą się nagrodę. A jeżeli teraźne los nie nastręcza potém sposobności do zasług, to jego wina.— To mi się snuło po głowie, gdym się przecie uskoniec do-

drapał do mety, to jest: do pożądanego pod ratuszem placyku.

Nowy widok! — Co za świat! Jaki nacisk ludu! Wszakto się roją jak pszczoły*)! Odpocznijmy — siądźmy na ławie; uważajmy i puśćmy wolne cugle filozoficznym uwagom. Jaki szmer przyjemny! żadna muzyka nie będzie tak słodka, tak powabna, tak harmonieczna w uchu próżniaka! Fraszka romansowe mruczenie strumyków, przy których pasterki (osobliwie nasze) tak słodko nucą i rozpamiętywają piękność natury. Fraszka gwar ptasząt, i śpiewanie słowików, które w romansach tak mocno literatki zachwycają. Fraszka nawet owa muzyka ciał niebieskich, której się do sytości, jak koncertów nasłuchali niektórzy. Tutajto dopiero człowiek bez ciała oddycha i żyje, tu znajduje prawdziwą w życiu rozkosz. Bo czy można żyć i bawić się przyjemniéj! Tu sobie siedząc z założonemi rękami rozmyślałem; gdy tymczasem snuje się przedemną, co tylko jest najpiękniejszego i najwytworniejszego w mieście. Jest to prawdziwy *wyciąg*, jak teraz mówią, i jest to piąta treść, jak mawiano dawniéj, całéj naszéj publiczności. Są to kobietki, które wychodzą dla przechadzki i rozrywki, ale i dla pokazania się razem. Jakoż każda ma się z czém popisać. Ta np. pragnie, żeby uważano jéj szal,

*) Choćby się może bez tego obeszło, wszelako ostrzegam czytelnika, że ta wyprawa była wśród lata.

który mąż wczoraj kupił na oblig. Tamta wabi kapeluszem, który przyjaciel świeżo z Warszawy przywiózł. Owa suknią, która przedziwnie na niéj leży. Tu kolorowy i kształtny trzewik uderza i zastanawia oko, które się naturalnie musi zatrzymać na nóżce, a ta nóżka jest prawdziwie ładna. Tam białe i śliczne ramie wygląda niby przypadkiem z pod niemniéj pięknego szalu. Patrząc na to, nie można się minąć z myślą, że się bardzo sprawiedliwie i mądrze wszyscy ubiegamy za powabami zewnętrznemi, za ładą ozdobą, co uderza i zastanawia zmysły. Każdy sądzi o ludziach z tego, co widzi, a któż widzi przymioty wewnętrzne? kiedy zewnątrz ładá błyskotka, ładá płatek świecący uderza i zwraca na siebie uwagę. Można wprawdzie niekiedy i zasługą dopiąć znaczenia, ale suknią, mundurem, wstążeczką, ładną karetą, kształtnym koczykiem, rozłożystą dorożką i grzywiastemi końmi, a w niedostatku tego wszystkiego choć miną czupurną, prędzéj i łatwiéj. Dlatego sprawiedliwie pstrzymy się, ile tylko można. Wszak zła porcellana, kształtnie wyrobiona i malowana pięknie, bierze na stolikach pierwszeństwo prawdziwie dobréj. Wszak złe obrazy mają znaczenie przez bogate ramy. Wszak pięknie ozdobione domy zastanawiają przechodniów, choć wewnątrz są puste. O nieoszacowana chęci podobania się i zwracania na siebie uwagi innych! ty jesteś pierwszą i największą podnietą czynności i przedsięwzięć człowieka. Bo począwszy od Alexandra Wielkiego, który się na tysiączne w Azyi

narażał przypadki i pragnął, aby go w Atenach chwalono; aby na wszystkich zgromadzeniach i placach publicznych mówiono o nim, aż do naszych dam, które wystawują ładną nóżkę, lub pokazują z pod szala piękne ramie; aż do naszych trefnisiów, którzy wychodzą na plac z wymuskanym wąsikiem i ładnym frakiem: wszyscy są tobą natchnieni. Nieraz patrząc na ślicznego Jegomości, który z tęgą miną poważnie stąpa po placu, i z obojętnością lub pogardą na przechodzących, a z rozkoszą na siebie spogląda, myślę: Mój Boże! jakto często ludzie na nie swojém są miejscu: temu wielkiemu człowiekowi należało być przynajmniej Pompejuszem. A gdyby tak było, bywaj zdrów panie Cezar! twoje interesa inaczéjby były poszły, i tyś nie był panował, Auguście! A z tego jakie wypadki! Wszak doprawdy cały światby był poszedł inaczéj.

Ot! jak z małych przyczyn wielkie bywają skutki! Teraz mi się dopiero otwierają oczy, i widzę nareszcie, iż ów Jegomość, który mię o włos na ulicy nie roztrącił; że idący za nim i odznaczający się pasyczkami panicz; że ów JW. pan, który mię miną groźną wylajał; że jadący w trzy części świata razem i rozpostarty w dorożce Jegomość, starali się o powagę i zaczenie; czyli dawali znać wszystkim przechodzącym i waleşającym się po ulicach, że są niepospolici ludzie. — Bądźcie więc pozdrowieni, wasi

brukowi Pompejusze i Cezary, którzy łatwiuteńko, bez najmniejszego krwi rozlania, bez takich zachodów, jak tamci, umiecie dać poznać całą swoję wielkość. Do tego zatém rodzaju wielkich, zacnych i uszanowania godnych ludzi, musi należeć i ów junak, co zawsze czapkę na jednem uchu nosi, i ów co odchyla umyślnie płaszcza lub surduta, żeby wystawił na publiczny widok kawałek wstążeczki; i ten co się odznacza wielką lorynetką zawieszoną na guziku; i ów co się szasta z okularami na nosie, choć nikt nie słyszał o dziełach, któremiby sobie wzrok zepsuł. Wszystko to jest piękne; wszystko należy szanować: bo wszystko pochodzi z uczciwéj emulacyi o znaczenie i wyższość nad innych.

Takem rozmyślał i tak mówił do starego strukczaszego, który siadł obok mnie na ławie, i powitał serdecznem ściśnieniem za rękę. „Dobrze mówisz, odpowiedział na to poczciwy starzec: wszystkoby to było niczém; możnaby nawet to ubieganie się o znaczenie darować i pochwalić, gdyby było w rzeczach pożytecznych i coś znaczących; a nadewszystko gdyby było bez krzywdy bliźniego. — Ale te młode i stare trzpioty, te wymuskane i nadęte próżniaki, pokazują dla wszystkich pogardę i rozumieją: że z góry lub z ukosa i litościwie spoglądając na innych, lub że ich grubijaństwem zacierając, swojéj dowiodą wyższości. Grzeczność i poważanie się wzajemne są duchem dobrych towarzystw;

dlatego każdy wywyższający się, z poniżeniem drugich, jest w takich towarzystwach nieprzyjacielem powszechnym i powinien być wyśmiany. Cóż ci się zdaje, mówił daléj; czy rozumiesz, że te puste głowy przestają na tém, żeby ich uważano? Ja ci ręczę, że się każdy ma za coś lepszego od wszystkich innych, i gotów się najszacowniejszego i najzasłużeńszego człowieka zapytać: na co on potrzebny? Musisz nieznać naszych towarzystw: bo gdybyś tam uczęszczał, widziałbyś co moment, jak młode i niczem niezajęte trzpioty, jak powszechnie znajome oszusty lub okrzyczane łapigrosze, przybierają znaczącą i poważną postać, decydują o wszystkiém i ogłaszają pracowitych, zasłużonych, uczonych i prawdziwie pożytecznych ludzi, za głupich i na nic nieprzydatnych."

„Cóż im robić? odpowiedziałem, biorąc za rękę poczciwego starca; świat ten jest nieustającym trybunałem, wszyscy ludzie użyteczni pod sądem, a sędziowie ci lehmość, których przed nami widzisz. — Jakkolwiek ten sąd błahym ci się zdaje, nie godzi się nim gardzić: bo on stanowi wielką część publicznego zdania, które wszyscy szanują." „Tymci gorzéj, zawołał starzec, wzdychając głęboko!" „Nie najlepiéj to wprawdzie, odpowiedziałem daléj, ale nie tak źle jak rozumiesz. Najgorsza nawet rzecz ma często swoję dobrą stronę. Czémżeby był świat, gdybyśmy wszyscy byli jednacy? Sądzimy się więc, potę-

piamy i bawimy nawzajem, a to nas jakkolwiek zatrudnia i utrzymuje w czynności: wy ludzie pożyteczni macie nas próżniaków za nic, otóż i my wam oddajemy wet za wet, i powiadamy, żeście niepotrzebnym ziemi ciężarem. Dlatego to nie świata nie odmienia, który zawsze idzie swoim trybem, a ty próżno zrzędzisz panie strukczaszy. Lepiéjbyś wskórał, gdybyś się przystosował do nas. — „Nie chcę, zawołał starzec z gniewem, porywając się z ławy. — „Tymci gorzéj, odpowiedziałem, widzisz jak na tém źle wychodzisz; pracowałeś całe życie i starałeś się być prawdziwie użytecznym, i cóż z tego? oto chodzisz w wytartym kontuszu. — „Tymci lepiéj, odpowiedział strukczaszy, surowo spoglądając na mnie; a założywszy rękę na piersiach dodał: To jest moja nagroda. Nikt mi nic nie zarzuci, a ja kontent jestem z siebie.“

To powiedziawszy odszedł, a mnie dał nowy pochop do myślenia. Strukczaszy, mówiłem sam w sobie, jest człowiek poczciwy, spokojny i rozsądny, a spokojność sumienia ma za istotne i jedyne szczęście. Jeżeli tak jest w rzeczy samej, tedy ludzie poczciwi i użyteczni muszą być swego szczęścia panami: bo sami sobie są nagrodą, a dobra światowe są własnością tych, którzy téj nagrody niewarci. Ta myśl zasmuciła mię nieco, ale nie na długo: bo spojrzawszy na przechodzących po placu próżniaków, kollegów

moich, czytałem oczewiście w ich twarzach, że wszyscy niezmiernie byli z siebie kontenci, chociaż żaden nie kładł ręki na piersiach. Zatém i ja, pocieszony zupełnie, włożyłem rękę do kieszeni, podszedłem nieznacznie pod mur i wróciłem się czym prędzéj do domu.

ROZDZIAŁ IV.

Bez wyprawy. Ból głowy.

Dzień był dość piękny i obiecywał bardzo chwalebną wyprawę; ale się obudziłem z mocnym bólem głowy; a przeto rozmyślając, co z sobą począć, wziąłem szlafrok i postanowiłem tego dnia chorować. Cóż robić? Słyszałem nie raz rozmawiających, że to należy do jakiegoś dobrego tonu, mieć słabe zdrowie i chorować choć raz na tydzień. Mówię, jakiegoś, bo nie będąc muzykiem przyznam się, że nie bardzo wiem, co to znaczy. Myślałem tylko, jak też chorując dzień przepędzić przyjemnie. — Takowy zamiar zapewneby niejednego zmieszał lub zadziwił; ale my uczeni próżniacy mamy tysiąc sposobów ratowania się w takiém zdarzeniu, i mamy tę nieocenioną korzyść: że zatrudnionym i pracowitym może niekiedy roboty za-

braknąć, nam próżnowania nigdy. Doskonały próżniak rzemiosło swoje zawsze nowemi wzbogaca wynalazkami, i odkopuje tysiąc a tysiąc źródeł coraz innego ukontentowania, owszem coraz innéj rozkoszy.

Niedługo więc myśląc, otworzyłem okno na ulicę, a położywszy się na niém, zacząłem przechodzących rachować. — Znajomi moi, po większéj części przyjaciele i kolledzy, widząc jak poważnie odpoczywam w oknie, zaczęli do mnie wstępować; a to jedynie dla pomocy w tak słodkiém próżnowania dziele.

— Co ci jest? zawołał wchodząc Waleuty: pierwszy raz cię widzę w szlafroku.

— Głowa mię boli.

— A to zkąd? musisz mieć hemorroidy, dodał troskliwy przyjaciel; nie trzeba tak siedzieć; pójdź ze mną do Hrybiszek, dziś tam wszyscy jadą.

— Ja wiém co to jest, odezwał się Ignacy: chodziłeś wczoraj po deszczu i musiałeś nogi zamoczyć. Weź kąpiel, to ci to przejdzie.

— Nie, przerwał mu Antoni; on musi mieć zamulony żołądek; weź na przeczyszczenie.

— To katar, rzekł Hippolit, ja miałem onegdaj taki sam ból głowy. Pójdź, wypijem po szklance ponczu.

— Imaginacya! . . . . odezwał się Mikołaj, ja wiém, że te ranne bóle głowy pochodzą z czczości żołądka. Dobrzeby pójść gdzie na śniadanie.

— Bóg wam zapłać, odpowiedziałem, ale postanowiłem nigdzie nie wychodzić, dopóki mnie ten ból nie opuści. —

Zostałem więc znowu sam jeden, i mógłem wpatrywać się bez przeszkody w twarze przechodzących pod oknem. Snuły się nieprzerwanie czarne płaszcze i stukały po bruku patynki. Kiedy niekiedy pokazał się frak, kapota lub kontusz, ale bardzo rzadko. — *Rari nantes in gurgite vasto.* — Ujeżdżały się jednokonne dorożki, kierowane niemal zawsze przez żydów, którzy wrzeszcząc bez litości, kazali piechocie ustępować z drogi, a często i potrącali z przekąsem. — Między nimi postrzegłem młodego, *niby grafa*, jadącego remizą. Rozczochrany siedział w karecie spokojnie, z głową spuszczoną na kwintę. Pijany stangret ledwo się trzymał na koźle, a lokaj spał za karetą. Domyśliłem się z samej postaci ekwipażu, że hrabiątko musiało całą noc grać w karty; a tragiczna postawa samego pana przekonała mię, że się zgrał do szeląga. Otóż panicz, pomyślałem sobie, na bitym gościńcu do exdywizyi; a sądząc po całém ujęciu, zdaje się, że tam wkrótce zajedzie. — W tém porwał się hrabia, przetarł oczy, postrzegł mię w oknie i pociągnął za sznurek. Niestety! nadaremnie, bo przeczucny woźnica głębokiem był zdjęty nieczuciem. Szarpnął więc jeszcze mocniej i sznurek się urwał. Woźnica to wszelako nie nie poruszyło; w rozpaczy odwrócił się i począł wołać na lokaja, który się jak na złość obudził, zatrzymał karetę i pa-

niczą wysadził, a ten uśmiechnąwszy się do mnie milcząco do okna, piorunem pobiegł po schodach. Wpadł do izby i tak się rzucił na mnie, żem rozumiał, iż mię rozbije, a ścisnął tak serdecznie, żem ledwo Bogu ducha nie oddał. Byłbym wołał gwałtu, gdyby mi był kochany hrabia pozwolił; ale nie było czasu, tak mię rzęsiście ściskał i całował. „Jak się masz? wrzasnął, kochany przyjacielu: darmo że dotąd u ciebie nie byłem.... ale nie uwierzysz jak jestem zatrudniony; przyjechałem do miasta dla interesów i nie mam momentu pokoju. Wiesz, żem objął znaczny majątek; a to ambaras... tu procedera... tu interesa w rządzie.... Prawdziwie bieda z majątkiem... *A propos*, czy wiesz mój przypadek? wszakto mi na samym wjeździe do miasta tłomok odcięto! — Coto za głupcy ci nasi ludzie! Jeszcze, proszę cię, w tłomoku miałem wszystkie moje pieniądze, i teraz jestem bez grosza. — Posłałem ja wprawdzie natychmiast do domu po sukurs, i jutro, a najdaléj po jutrze spodziewam się mojego officyalisty; a tymczasem ambaras! — Czy nie możesz mi dać na parę dni dwuchset Czerwonych złotych? Prawdę mówiąc, mnieby każdy dał; ale ja nigdybym o to nikogo nie prosił, i robię to, kochany przyjacielu, jedynie dla ciebie. (Tu znów mię znowu ściskał!) — Bo czemu téż kiedy do mnie nie przyjedziesz na wieś? *Venez, mon cher*, zobaczysz, jak się będziemy bawili.“

Zdziwiła mię niezmiernie ta poufała przyjaźń hrabiego, którego raz tylko na obiedzie, drugi raz na teatrze widziałem. Prawdziwie nie wiedziałem jak mu podziękować; bo zapłacić za to dwieście Czerwonych złotych, zdawało mi się na szabrawca zawiele; a hrabia innego podziękowania nie żądał. Przeprosiłem go jednakże jak najgrzeczniéj, przekładając i moję niemożność i potrzeby. Zamilkł . . . oczy we mnie na minutę wlepił . . . potem kiwnął głową, wziął za kapelusz i wyszedł. Nie było ten raz ani serdecznych oświadczeń, ani pocałowań, ani ściskania; a ja odetchnąłem przecię cokolwiek i znowuż siadł w oknie. W tém otworzyły się drzwi, i wszedł lokaj starościny.

— Co tam powiesz Michale?

— Pani moja dowiedziała się, że Pan chory na głowę i przysyła ocet czterech złodziejów.

— Bóg ci zapłać; powiedz, że bardzo twojéj pani dziękuję, ale już jestem zdrowszy.

Ledwo Michał odszedł, gdy wszedł posłaniec hrabiny z flaszką kolońskiéj wódki w ręku.

— Pani moja słyszała, rzecze, że Pan ma migrenę — otóż przysyła świeżéj i bardzo przedniéj wódki kolońskiéj, którą tylko co dostała z Warszawy.

— Jaka twoja pani dobra! Powiedz, że jéj sam podziękuję, bo już jestem zdrowszy i wkrótce wyjść myślę.

W kilka minut potem nadszedł inny posłaniec, który mi przyniósł prawdziwego, jak twier-

dził, balsamu z Mekki, dla przyłożenia na skronie. Inny ofiarował plaster *Schieffenhausza*, robiony wiernie podług najprawdziwszego przepisu. Przebóg, co tu doktorów! . . . drzwi się nie zamykają przed nimi. — Marcinie, zawołałem w niecierpliwości, zamknij drzwi! owszem, zawal, zamuruj, jeżeli można; wszakto się schować od doktorów nie mogę! — Sam zaś zamknąłem co prędzéj okno, i siadłem rozmyślać na łóżku.

Co to znaczy? i zkąd to pochodzi, że tak jesteśmy skwapliwi do leczenia drugich? że się każdemu ofiarujemy z pomocą, i że każdy z nas rozumie, że w rzeczy saméj radzić coś może. Chcieć wprawdzie ratować cierpiących, jest rzeczą bardzo chwalebną, jest znakiem czułości i dobrego serca. Dlatego nie dziw, jeżeli kobiety tak się chorym chętnie i łatwo nastręczają do pomocy. Ale zkąd im ten dar, że się powszechnie i znają na chorobach i umieją je leczyć? zkąd nam wszystkim taka umiejętność? Nie można inaczéj rozumieć, tylko że bez nauki jest to prawdziwy dar przyrodzenia: jest umiejętność, z którą się rodzimy, jeżeli nie wszyscy, to przynajmniéj niektórzy. A zatém, że ci, którzy się tego kunsztu uczą, niepotrzebnie sobie głowy mozolą. Niechże więc wybaczą owi lekmoie co w medycynę nie wierzą. Czyż nie widzą oczewiście, że będąc darem nieba musi być rzeczą nieomylną? że jest prawdziwym przywilejem, zwłaszcza kochanych naszych babulek, które się i na

chorobach i na ziołach doskonale znają; znają jakąś wrodzoną władzą, jakimś instynktem, jakiémś czuciem osobném, któreby nie złe babskim zmysłem nazwać można. Nasi zabobonni przodkowie mieniali podobne nadprzyrodzone przymioty za natchnienie złego ducha, i pospolicie tak uczone babki plawili. My, jako ludzie daleko oświeceńsi, nie wierzymy w czary, ale za doktorów bez mozgu i nauki bichyśmy się gotowi. Złośliwy jaki człowiek mógłby powiedzieć, że całe nasze oświecenie na tém się kończy, że nie w kontuszach chodzimy i nie golimy głów, choćby nam to dosyć przystało: mógłby powiedzieć, żeśmy porzucili strój przodków naszych razem z ich cnotami i rozsądkiem. Ale któryżby oświecony człowiek uważał na podobne bredzenie dziwaków! wszak prawdziwe oświecenie na tém zależy, żeby na nic nie uważać i o gadania nie dbać. A potém, obdarzeni bystrym babskim zmysłem lepiéj to znają; bo, jużci ten szczęśliwy zmysł nie tylko babom służy, jak się może sam, kochany czytelniku, domyślisz, ale służy i wielu pół-mędrkom, owszem i całym mędrkom niektórym. Naturalnie, czyż wszystkie, czytelniku uczony, chodzą w spodnicach? wszak są baby i w kapotach i we frakach. Dlatego też tak wiele doktorów; dlatego spotkać się z nikim na ulicy nie można, żeby się natychmiast nie zapytał o zdrowie: a jeżeli się, broń Boże, na co poskarżysz, żeby ci w tym momencie nie powiedział, jaka jest twoja choroba i co masz na nią robić.

Ta praktyka lekarska tak się u nas doskonali i coraz bardziéj krzewi, że się spodziewać należy, iż przyjdzie do tego, że się za spotkaniem na ulicy za puls brać i języki sobie nawzajem pokazywać będziemy. Naówczas trzeba się będzie wszystkim opatrzyć w ładne szlifowanym korkiem zatykane flaszeczki, w których każdemu ciekawemu przyjacielowi pokażemy na oko, jak się nasza krew czyści. Wtenczas to nasze oświecenie i polor do najwyższego dójdą stopnia! tak że inne narody barbarzyńskiemi względem nas będą. Ten zaś niesłychany blask i polor, to światło niezmierne, ta powszechna doskonałość i mądrość, nie będą nabyte, nie zapracowane, jak gdzieindziéj; ale rodowitym przywilejem nadane, z przyrodzenia w nas wlane, we krwi naszéj płynące i z nią spływające na świetnych naszych potomków. Krótko mówiąc, weźmiemy z rąk samej natury biret doktorski. Naówczas inne europejskie ludy nazywać nas będą narodem lekarskim; tak, jak my je nazywamy kupieckiemi, rzemieślniczemi, rólniczemi lub wojennemi narodami.

Otoż mi się takie dziwactwa snuły po głowie. Ale ty czytelniku nie rozumiéj, że to są same przywidzenia. Jest w tém wielka część prawdy: bo wszystko, co się u nas dzieje, mówi za tém najmocniéj. Posłuchaj tylko, a sam się przekonasz.

Rok temu przeszło, zjawił się był w nowogrodzkim powiecie wielki doktor, pastuch An-

tosiek, któremu się zioła, na chorobę jaką przydatne, nizko aż do samej ziemi kłaniały, do którego roje chorych i mających się za chorych ze wszystkich części Litwy płynęły*), którego dowcipny wizerunek zapewnieś miał szczęście oglądać w fijoletowym pamiętniku; a o którym uczeni nasi (NB. nie pospolici, ale także natchnieni) pełno doskonale mądrych rzeczy pisali**). Otoż musisz wiedzieć, że ci fijoletowi mędrcy dowiedli i pokazali jak na dłoni, że Antosiek wskróś człowieka przeglądał, i jak my na przechodzących przez okno, tak on patrzał przez skórę, mięsa i kości na wątrobę, nerki, śledzionę, mozg i serce: że zatém widział doskonale, co się gdzie w człeku dzieje? co słychać w kiszkach, a co w głowie? Powiadają nawet, że ile razy na głowę, albo raczéj mózg swoich pacyentów oczy obrócił, wstrzymać się nie mógł od śmiechu, i aż się kładł na ziemię, tak tam coś pocieszego widział. Wiesz zapewne, światły czytelniku, i to, że ten natchniony człowiek dawał chorym swoim w gorzalce skrobaną ławkę, na której sam siadał i sypiał, i że to dziwnie pomagało na koltun w głowie.

Uważże teraz, że w tym roku zjawił się

*) Ludzie przekonani o wielkiéj władzy pasterza powiadali, że nosił na sobie plamę. Teraz zaś słychać, że ją noszą ci, co mu leczyć kazali.

**) Obacz pamiętnika Warszawskiego na rok 1816 miesiąc listopad pag. 353—363.

drugi natchniony doktor, od tamtego jeszcze większy; to jest chłop Antoni za Niemnem. Ten zaś tém od Antośka jest wyższy, że tamten tylko był natchniony, a ten i nalany razem: lubi się albowiem, dla tym lepszego koncepta, miódkiem i wódką nalewać. Otóż i ten wielki człowiek o nic się choryeh swoich nie pyta: bo sam w nich wszystko *widzi jak w szklance**) i wszystkim każe głowę burym grochem okładać. Dostrzegł albowiem (bo widzi jak w szklance), że to jest pospolicie część słaba; i wie, że w chłopskich potrawach groch się do kapusty dodaje.

Wiedzże tedy, że ci natchnieni i nalani artyści twierdzą: że dwónastu jeszcze u nas będzie takich Antośków; a mędrzec zaniemeński donosi, iż za Ostrą-Bramą połażą się wkrótce dwie siostry, które także wszystkich i na wszystko leczyć będą. Jeżeli tedy z jednego Antośka wyrodzi się ich dwónastu, a z Antoniego nadto dwie baby; wieleżto dopiero z nich wszystkich razem wyrodzić się musi. Zatém, gdy się to drzewo rodzajowe Antośków zupełnie rozkrzewi, ani wątpić można, że przyjdzie czas, w którym od Otrego-końca (siedliska dwuch bab obiecanych) aż na koniec Wierszałki, powyrastają Antośki, jak grzyby, i stąpić bez nadeptania niepojętego doktora nie będzie można. — Wtenczasto wybaczcie choroby wszystkie a wszystkie; żalna się

---

*) Jest to jego naukowy wyraz.

więcéj w Litwie nie ostoi; ród nasz nieśmiertelnym zostanie; upadną wspaniałe kondukta; oschnie z podzwonnego intrata, a my, bez mozołu, bez uczenia się — bo tego, prawdę mówiąc, nie lubimy — co do jednego doktorami będziemy. Wtenczas... co za piękna przyszłość!!... cała Europa, owszem cały świat chory do nas wędrować będzie; a my... nuż im głowy okładać, to grochem, to kapustą, to ciemierzycą, to botwinką i t. d. i t. d. Oh! jakaż to niezrównana chwała! jakie korzyści. Wtenczasto sprawiedliwie powiemy: *vivat* Antosiek; *vivat* pan Antoni; *vivant* Ostrobramskie baby i kompanija!“

ROZDZIAŁ V.

Wyprawa trzecia.

Nastała nakoniec zima, kochany czytelniku, i śniegi upadły. Ciężko się teraz po ulicach włóczyć. Zawiany nawet placyk pod ratuszem, a zamiatanie go i posypywanie piaskiem wiosny nie wraca. Nieszczęście! Rzadko teraz będzie można wynijść, i podobno wygodnie przy kominku i ciepłem piwku rozmyślać, albo rozprawiać... o niebieskich migdałach. Cóż robić? ja cię dla tego nie odstąpię. Kiedy niekiedy wyjdziemy na przechadzkę; a podczas zawieruchy będziemy się grzali i rozmawiali razem.

Każdy człowiek i każda klasa ludzi ma swój sposób przepędzenia i zabijania czasu. My, pospolici próżniacy, walęsamy się, drzymiemy, albo rozprawiamy od rana do wieczora. Ale nasi towarzysze, rozmaici artyści, mają różne z

rożne zatrudnienia i zabawy, podług natury rzemiosła. Pracują zatém. A chociaż to wyehodzi na nasze; wszelako nas mają prosto za próżniaków, ich za bardzo ważnych i potrzebnych ludzi; bo to jest rzecz pewna, że zatrudnieni tylko próżniacy i sami sławy dopiąć mogą, i dla swoich ziomków ją zjednać. Dlatego dzięki Bogu, że się też zaczynają i u nas krzewić i kwitnąć zatrudnienia i zabawy chwalebne. Mamy coraz więcéj i mamy coraz nowych nauczycieli. Można się teraz za małe pieniądze nauczyć grać w szachy; jak zawsze było, tak i teraz, można wziąść nie wielkim kosztem kurs faraona, stosa, bostona; a na nauczycielach nie zbywa. Sami się nastręczają, sami do domów przychodzą; osobnéj za lekcye nie żądają nagrody, a dziwnie są skromni. Imion nawet swoich do kuryera nie podają, owszem, jak zawsze w ludziach wielkiego talentu uważano, milczą i nigdy się z swojéj umiejętności nie chwalą. Światby ich nawet nie znał, gdyby ich uczynki nie mówiły za nimi. Tymczasem ja tego talentu nie mam, a może i ty nie masz, czytelniku uczony, więc pójdźmy na przechadzkę: a przynajmniéj słuchaj, co ci o mojéj ostatniéj wyprawie opowiem.

Była to niedziela. Mróz cokolwiek zelżył, i snieg prószyć przestał. Wziąwszy więc moję wielką Lapuzę, rysią szubę i hóty futrzane wyszedłem na ulicę. Jaka wesołość! Zewsząd krzyk, dźwięk dzwonków, gwizdania i przeraźliwe piszczenie wozów. Co to jest? Dalibóg na ulicy jak w szyn-

kowni! czy cały nasz świat, dla ogrzania się, w czubek nalał? czy to jest skutek niedawnego przesilenia dnia z nocą? Prawdziwie nie pojmuję. Wszyscy lecą, jak oparzeni, z krzykiem i piskiem. Co moment ścierają się sanki o sanki. Ten wrzeszczy *nie najeżdżaj*, ten, *na bok*; idący pieszo jak mogą uciekają, to w lewo, to w prawo. Ten, umykając przed sankami poślizgnął się i upadł, tamten, nie mogąc uciec, wskoczył na sanki; ten uskakując na bok przewrócił babę z koszem, ów żyda z jabłkami. — Dalibóg sądny dzień. Zatrzymałem się więc w bramie, rozmyślając, czy pójść, czy nie pójść? Bo jakto narażać się na wyraźne niebezpieczeństwo? Ale nakoniec przemogło opętane próżniackie rzemiosło. Trzeba pójść chodzić, żeby się w domu nie nudzić. Więc ruszyłem. A że roztropność każe szukać w niebezpieczeństwie ochrony; przeto wlokłem się powoli za sankami z drzewem, które niby to mały i nikczemny wół ciągnął, a w rzeczy samej chłop z tyłu popychał. Miły Boże! pomyślałem sobie, jaka to uprząż? musi ten chłop mieć bardzo złego pana! Tymczasem wlekliśmy się a wlekli, i nadciągnęliśmy powoli pod *budkę*. Tu wystąpił *budnik*, i wyciągnął z sanek największe drewno. Chłopek chciał się opierać, za co się tenże mocno ofuknął, uderzył go dwa razy i długo potem nielitościwie łajał. Tymczasem ja, choć tknięty obrazą honoru mojego kolegi, nie chciałem go opuszczać w nieszczęściu; owszem dałem mu wspaniałe niektóre

moralne przestrogi (wszak to nic nie kosztuje) i szedłem za sankami dalej. Zaczęto też wkrótce i drwa targować, co nas przymuszało zatrzymywać się tu i ówdzie. Wczasie tego odpoczynku uważałem: iż gdziekolwiek się zatrzymam, zawsze mam jakiś szynk przed sobą, a czasem dwa lub trzy. Jakto dobrze ciężko u nas pracującym i wędrownikom upaść na siłach: bo co krok, to posiłek! Uważałem i to: że takowe przybytki orzeźwienia opuszczone nie były. Otwierały się albowiem i zamykały drzwi bez ustanku; wychodziły i wchodziły kobiety rozmaitego stroju i kształtu; a wychodzący kołaje, woźnice, rzemieślnicy, szli zamaszysto, dobrze zarumienieni i z wyiskrzonemi oczyma. Co znaczy prawdziwe pokrzepienie na siłach i niezmyślona wesołość.

Tymczasem stojąca w bramie swojego domu ruhasna gospodyni stargowała drzewo za cztery złote; chłopek więc wjechał do bramy i zaczął zrzucać; a ja zatrzymałem się nieco, rozmyślając, co począć dalej. Nie wypadało albowiem puszczać się w futrzanych bótach i rysiéj szubie na niebezpieczeństwo roztrącenia; upatrywałem więc, azali nie nadeźmie drugi podobny opiekun z drzewem, ale się żaden nie nadarzał. Dawniejszy zaś wyszedł z pieniędzmi na ręku, które długo przeglądał i liczył. Potém wziąwszy wolu z sankami, wyprowadził z bramy i pociągnął prosto pod szynk najbliższy, gdzie całą uprząż na ulicy zostawił, a sam poszedł posilić się i ogrzać.

Ja nie mając czego dłużéj czekać, puściłem się w dalszą drogę. Snuły się rozmaite myśli po głowie, tak, że jużbym łbrnął a łbrnął w filozoficzne koncepta, gdybym był nagle nie dostał w bok jednym końcem hołobli. Obróciłem się natychmiast z gniewem, aż tu żyd! Uderzywszy mię raczył z cicha zawołać, *strzeż się*, i jak gdyby najlepszą rzecz zrobił, bardzo spokojnie i bez najmniejszéj uwagi na moje łajanie pojechał dalej, znowu sobie podług woli potrącać. Ja zaś tymczasem, nie mogąc się zemścić inaczéj, stanąłem na ulicy i machając rękami łajałem, ile mial siły. Wszakże to nikogo z przechodzących i przejeżdżających nie poruszyło; bo wszyscy z uśmiechem spoglądali na mnie, mając mię oczewiście za dziwaka, który z tak drobnych i pospolitych przypadków robi jakieś wielkie zdarzenie. Niechże więc tak będzie, pomyślałem sobie; niech was tu rozbijają, jeżeli o to chodzi, a ja dalibóg więcéj na ulicę nie wyjdę; albo także, jak drudzy, sankami latać i każdego co się nawinie, potrącać będę.

Szedłem więc rozgniewany przez rynek; zawróciłem około ratusza i jużem wchodził na Niemiecką ulicę, gdy nagły krzyk i lament przeraził mię znowu i zastanowił. Lud zaczął się zbiegać i zaczęto w głos wołać za jakiemiś saniami, które szły wielkim pędem ku Ostréj Bramie z niezmiernym piskiem i gwizdaniem woźnicy; kiedy stara żydówka, którą przejechały, leżała rozciągniona w poprzek ulicy i zaledwo dawała znak życia.

Rzucił się lud roztrąconą ratować; wniesiono ją czem prędzéj do pobliskiego domu, żeby czasem drugie sanie nie dokończyły dzieła tak chwalebnie rozpoczętego przez pierwsze; leciały albowiem w czwał jedne po drugich z wyciągniętemi na wszystkie strony świata i spienionemi końmi tak, że biedna piechota ledwo się mogła przy murze miescie bezpiecznie. Ci, którzy lecieli naprzeciw siebie, kazali się z niesłychanym wrzaskiem jedni drugim umykać, a zawadzając częstokroć konie o konie, lub sanie o sanie, łajali się i potrącali nawzajem. Zaledwo już można było dojrzeć sanek jak strzała lecących, które wywróciły biédną staruszkę. Zebrany lud miotał za niemi bezskuteczne złorzeczenia i przekleństwa, zgadując i pytając się jedni drugich: ktoby to był taki? kiedy stojący spokojnie na boku kupiec w szubie odezwał się: *a to nasi* i odszedł. Tu zaczęły się nowe złorzeczenia ludu, a ja częścią zdumiony, częścią rozgniewany, stanąłem na ulicy jak wryty. Wtém ktoś z przytomnych zaczął wołać: Mospanie, strzeż się WPan.... Mospanie w rysiéj szubie! zawołał mocniéj. Na ten głos ocknąłem się z zadumienia i chciałem na bok uskoczyć, ale nie było czasu: bo zajęty rozhukanym, spienionym i odwróconym do muru koniem, ledwom miał czas obejrzeć się, kiedy rozpędzony rumak zachwycił mię z impetem i rzucił o kilka kroków na stronę. Szczęściem nie uderzyłem o mur, bobym był musiał, kochany czytelniku, bez testamentu i przygotowania na śmierć, nawet

bez pożegnania się z tobą, prosto na tamten świat wędrować. Naówczas skończyłaby się filozoficzna podróż po bruku: bo na tamtym świecie podobno ani bruku, ani filozofów nie ma, a co gorzéj, pisać ztamtąd niewolno. Skończyło się wprawdzie na upadku i lekkiém stłuczeniu, ale się nie obeszło bez szwanku, bo się moja rysia szuba w dwóch miejscach rozdarła; bo moja kapota het! odleciała na bok, aż do bramy pobliskiéj, gdzie płynęły wielkim potokiem świeżo wylane pomyje; i byłoby się może przyszło z nią pożegnać. Przechodzący albowiem *bachur* już był za nią pochwycił i co prędzéj umykać zaczął; ale stojący tam z ogromnym żółtym imbrykiem poczciwy roznosiciel herbaty*) wyrwał mu ją natychmiast, skrzętnie obejrzał, a potem przystąpiwszy do mnie powoli, podniósł mię, oddał czapkę, przestrzegł: żebym był na drugi raz ostrożny, i zapytał, czy nie chcę napić się gorącego napoju dla orzeźwienia. Podziękowałem mojemu dobremu obrońcy, a odziawszy się, jak było można najlepiéj w rozdartą szubę, nasunąwszy zawalaną kapuzę, i poprawiwszy bótów, które już były spadać zaczęły, przedsięwziąłem wrócić do domu.

Tu się zapewne zapyta niejeden, kto mię

*) Jest to herbata nie chińska, ale prawdziwa krajowa. Rośnie na naszych łąkach i mocno rozgrzewa, kiedy jest gorąca.

tak nielitościwie rozbił! Niejeden posądzi, że z przestrachu nie postrzegłem autora tego uczynku. Oj! dostrzegłem przecie i tém się przynajmniéj cieszyłem w nieszczęściu, że to nie był żaden z moich czytelników: boby też to była sroga niewdzięczność. Ale to byli poprostu żydzi. Widziałem albowiem na własne oczy, jak w saniach ciągnionych przez trzy kare rumaki, na trzy wiatry puszczone, rozwalało się na pięknym dywanie dwóch synów Izraela, leżących rozkosznie na boku, obróconych do siebie nawzajem, uśmiechających się i przyjemną rozmową zajętych. Piękne i sute lisie futra odziewały niezle wykarmione, barczyste, białe i pulchniutkie ciałka. Jaśniały rumiane na licach jagody, iskrzyły się wypogodzone czoła i oczy, a zefiry z pejsakami igrały. Zdawało się nawet, że sam bożek miłości ukrywał się ze strzałkami w wymuskanych, podstrzyżonych i lędzierzawych brodkach. Rozbicie się moje, rozdarcie rysiéj szuby i zawalenie kapuzy, bynajmniéj nie obeszło tych dwóch zacnych mężów, którzy się i obejrzeć nie raczyli na mnie.

Po tym przypadku wracałem do domu w bardzo złym sosie, a idąc dawną drogą, przechodziłem około owego szyneczku, w którym się pokrzepiał mój towarzysz z wolikiem. Zdaleka postrzegłem, iż sanki i wół jeszcze stały na dawnem miejscu; szedłem więc prosto do nich dla zobaczenia jeszcze raz kolegi, za którego drzewem tekem się był szczęśliwie i bezpiecznie ukrywał. Ale jakież było podziwienie moje, kiedym

postrzegł dawnego opiekuna leżącego pod murem bez zmysłów i czapki. Przyskoczyłem do niego natychmiast, chcąc go podźwignąć, ale wszystkie usiłowania moje były daremne: spał alboviem snem niepokonanym. Gdym więc stanął nad nim i myślał o sposobie dania mu ratunku: wyskoczył z przejeżdżających sanek suchy mężczyzna w płaszczu, a obróciwszy się do swego woźnicy rzekł: Wszakto *Laurak**)? — *Laurak*, odpowiedział woźnica. Zaczął więc śpiącego szarpać i budzić: a gdym się go żwawo zapytał: ktoby był? i cóby to znaczyło? poprawił czapki i płaszcza, ujął się za boki i rzekł: Albo co? — Potém przypatrzywszy się mojéj podartéj szubie i zawalanéj kapuzie dodał:

— A wiesz Jegomość: że to nie pięknie pić w szynku z chłopami? za to można odpowiedzieć. A wiesz Jegomość, że *Laurak* jest poddany pana szambelana?

— Jakto? odezwałem się: alboż ja z nim piłem? zkądże WPanu taka wiadomość, a WPanze kto jesteś?

— Ja, odpowiedział, zwyczajnie pański sługa. Jestem ekonom — ja Jegomości nie znam, ale co Jegomość tu robisz przy moim człeku? a potém, czemu tak futro podarte? — Znam ja się na tych figlach. Oj! jest tu w mieście dosyć takich!

---

*) *Laurak* w języku litewskiego gminu znaczy wawrzyniec.

— Ala mój mospanie, wstydź się WePan, odpowiedziałem, ja nigdy w szynkach nie bywam.

— A toż nie szynk? rzekł P. ekonom, pokazując drzwi, pod któremiśmy stali.

Chciałem się wymawiać daléj, ale szynkarka, która tymczasem wyszła i słuchała całéj naszéj rozmowy, uwolniła mię od tego. Wziąwszy albowiem P. ekonoma za rękę, coś mu szepnęła do ucha; przez co natychmiast się ułagodził, a obróciwszy się do mnie i grona słuchaczów, którzy się byli zgromadzili tymczasem, zaczął wywodzić obszernie: jak *Laurak* był ostatnim hultajem i pijakiem; jak cały swój dobytek i wszystkie sprzęty gospodarskie przepił; jak się tylko przy jednym został wolíku, kradł w nocy drwa w pańskim i sąsiedzkim lesie, i po to tylko wuził do miasta żeby się upijał. Ja tymczasem widząc, jak jestem okropnie posądzony, jak zła sprawa mojego *Laurука*; jak całe zgromadzenie z wielkiém podejrzeniem na mnie spogląda: postrzegłem, iż trudno się będzie przed tym sądem usprawiedliwić, zwłaszcza że pomacawszy się po kieszeni znalazłem, żem nie miał za co wódki kupić; więc widząc wszystkich rozmową zajętych, wysunąłem się niezmacznie i szedłem powoli do domu.

Co tu uwag! Jaki tłum filozoficznych myśli! A naprzód, niech sobie mówią co chcą, ale wódka musi być rzeczą bardzo dobrą, jak skoro się tak ludzie ubiegają za nią: owszem musi być owém dawno szukaném najwyższém dobrem, skoro tracimy dla

niéj majątek i zdrowie, a narażamy skórę na ciężkie razy. Ale i to niedosyć, bo prawdziwi miłośnicy gardło dla niéj odważyć gotowi. Są wprawdzie tacy, co narzekają na wódkę, i słyszkują na szynki; co powiadają z pewnością, że to są plugawe gniazda rozpusty i zkażenia naszego ludu; że w nich największych nieszczęść początek. Ale poco te czarne myśli? Nie wszyscy ludzie tak są nieznośni śledzionnicy i nieprzyjaciele wesołości. Są rozsądniejsi, którzy upewniają, iż w szynkach mieszka dobry humor, w strapieniu pociecha, w cierpieniach ulga, że w nich jest prawdziwa przyjaźń, poufałość i otwartość. Co to komu szkodzi, że się ludzie pokrzepiają i orzeźwiają w słabościach, a rozweselają w zmartwieniach? ktobyto bez wódeczki zniósł ciężary, kto wytrzymał troski i dolegliwości ludzkiego życia? Więc bądź pochwalony wielki gorzałeczki wynalazco; bądź uwielbiony pierwszy założycielu naszych gorzelni! Jak tezto tak wielkich ludzi zostawiono bez pomników? Ale mylę się: bo każda szynkownia, każda karczma i karczemka, są ich ozdobnemi pomnikami, są świątyniami poświęconemi ich chwale; a dostojne w tych świątyniach kapłany są to nieoszacowane żydki nasze. Coto za przesliczne, co za nieopłacone plemie. Jakato ozdoba naszego kraju! Gdzie się obrócę, czy gościńcem, czy najmniejszą dróżynką, wszędzie karczmy i karczemki, szynki i szyneczki; stoją podpierane z przodu i z tyłu graty; stoją bez okien, kominów, a często i bez dachów.

prawdziwe starożytności judzkie. Wiszą porozciągane brudne postronki od karczmy do stodoły, od stodoły do chlewa; jerozolimskie spojniki! Przy każdéj karczmie stoi ozdobny Izraelita w łachmanach, siedzi nieoszacowana jego połowica z brudnym i poszarpanym fartuchem; igrają bachorki, skaczą kozy i koźlęta, nieodstępne towarzysze synów Izraela. Jakato przedziwna troskliwość a naszego chłopka, o jego dobry humor i zdrowie! jaka ubyczajność i grzeczność! Nigdy przejeżdżającego lub przechodzącego koło karczmy nie przepuści bez przywitania, bez przemówienia do niego i zaproszenia na wódkę, a to jedynie przez ludzkość! Wie w każdym momencie, jak się gospodarz ma? wiele u niego bydła? wiele użął i nakosił? wiele umłócił? a to jedynie przez miłość porządku. Wie, ile mu się urodziło cieląt lub jagniąt, wie nawet, kiedy kura jaje zniesie, a to przez czystą troskliwość o jego dobro. Niechże gospodarz lub gospodyni zachoruje: sam idzie do domu z flaszką, sam schorzałemu niesie posiłek i lekarstwo. Za to wynosi, coby tylko choremu szkodzić, coby go skusić mogło; cielęta, kury, jaja, zboża, len i konopie, wszystko to są rzeczy szkodliwe, które on powoli ściąga do siebie; a dla ulżenia chłopom tych ciężarów, dla odwrócenia od nich oczewistych niebezpieczeństw, sam się obarcza, sam na wszystko naraża. O filantropy! któryż głos zrówna waszéj chwale? Sam Tytos, burzac Jerozolimę, ani zgadł, ani pomyślał, jak wielką robił przy-

sługę późnym Sarmatów następcom; jaki gotował dla ich kraju zaszczyt, ochronę i ozdobę; jakich im nadawał tęgich gospodarzy? jakich ludzi przemyślnych? Utyskujemy *np.* na srogość i zdzierstwo panów, i może poczęści słusznie. Ale czyż mają panowie choć iskierkę judzkiego przemysłu? Cóżby *np.* najchciwszy i najsroższy pan wziął od *Łauruka*. Nic, owszem (co za niezgrabność), pan mu daje grunt, nasiew, uprząż, bydło, chleb, a Jerozolimczyk, prawdziwy geniusz, wszystko to do siebie przeciąga. Nie ma nic *Łauruk*, tym gorzéj dla pana, a dla arendarza tym lepiéj. *Łauruk* po wszystko idzie do dworu, kradnie pana, wywozi drwa z lasu. Panu szkoda; arendarzowi zysk i pociecha. Obiją chłopa; a co arendarzowi do tego? On go dla tego napomni, poczęstuje, nauczy jak drugi raz powinien być ostrożnym. Jak, kiedy i po co ma iść do dworu? Jak ma mówić z panem? jak z ekonomem? Wie dokładnie, co chłopu ze dworu dano i z tego mu się natychmiast ściśle wyrachować musi.

Krótko mówiąc, któż mi pokaże w historyi drugi przykład tak przemysłnego ludu? Nie ma swojéj ziemi, a jest narodem i rządzi się własnemi prawami. Nie orze, nie sieje, nie zbiera, nie młóci, a ma chleba podostatkiem, obfituje we wszystko; wszystko co się w kraju urodzi, do niego należy. Pan jest niemal jego poddanym, a chłop niewolnikiem, a to wszystko za pomocą nieoszacowanéj wódeczki. Tak mała i na

pozór nic nie znacząca sprężyna całym krajem rusza i włada. A toż nie geniusz! Szanuj, kochany czytelniku, potomków Izraela, bo to są prawdziwie wielcy ludzie.

ROZDZIAŁ VI.

Doniesienie ciągnie się daléj.

Pierwsze posiedzenie Sentymentalnego Towarzystwa.

Wiesz, mój szanowny czytelniku, żem się starał o plac sekretarza i redaktura dziennika *Sentymentalnego Towarzystwa*; bo się tak zgromadzenie pleni piękniéj pod prezydencyą filimony nazywa. A żem tak długo nic o niém nie wspomniał; mogło ci się zdawać, że moje zabiegi były daremne, i że kto inny pochwycił ten honorowy placyk. Otóż ci teraz z ukontentowaniem donoszę, żem przecie dokazał swego. Lito zaświat, tak jak ty, czytelniku kochany, łatwo się domyśli, że zapowiedziane zgromadzenie prędko się zebrać nie mogło. Naturalnie, w wielkich przedsięwzięciach trafia się na wielkie trudności

Więc zdarzały się i tu przeszkody; to wieczory, to teatr, to *fety* *). Często już się Towarzystwo zbierało, gdy nagle przyniesiony bilet doniósł o jakim nieprzewidzianym wypadku. Często wydarzała się nagła słabość nerwów, lub niespodziana *wizyta* (odwiedziny). Czasem potrzeba było dla zdrowia wyjechać na kilka dni z miasta. Bywała przytém to żałoba z przyczyny śmierci suczki lub kanarka; to niedokończona lub zepsuta suknia; to nagły przyjazd *kuzyna* lub *kuzynki* **), to tysiączne inne tym podobne zdarzenia: co tamowało i ociągało już mające się rozpocząć obrady.

Lecz gdy nakoniec niecierpliwa Filimena zgromadziła u siebie znakomitsze członki, rozkazała przynieść herbatę. Tymczasem zapowiedziano w przedpokoju, ażeby nie przyjmować mężczyzn: mężowi kazano pójść na teatr; po panie zaś posłano sanki, z zaleceniem, ażeby siedzieć cicho w garderobie; dopóki nie nie zawołają. Filimena tego dnia z nowym i dotąd niewidzianym wdziękiem wonny nalewając i rozdając napój, tak się nakoniec odezwała poważnie:

— Prawdziwie rozumiałam, że z mojego pro-

*) Za pozwoleniem, muszę cię, kochany czytelniku, ostrzedz, że to jest wyraz technizny, i znaczy po naszemu *wczy*, *biesiadę*, albo *gody*.

**) Także techniczne wyrazy.

jektu nie nie będzie*). Jakżeście też niedbałe! Czy chcecie, żeby nas mężczyzni mieli sprawiedliwie za nie, i sami uczone towarzystwa składali? Widzę oczewiście, że tego chcecie. Od kilku tygodni nie możemy się nie tylko zorganizować, ale nawet zebrać. *Ma chère Hortense*, dopókiż ciebie będą zęby bolały? Zapomniałaś, że my tu bez ciebie nie nie zrobimy; bo ty przecie czytasz i trochę piszesz po polsku. I ty, kochana Pamelo, zawsze masz niewczesne wymówki. Co to za racya, że mąż przyjechał! Zostaw go w domu z komisarzem, albo jakim ekonomem; to jego ulubiona kompanija. Czy tobie jeszcze z mężem się nudzić! — *A propos*; jakże będzie z naszym sekretarzem? Przy pierwszém zgromadzeniu się naszém, podawałam wam

*) Piękna ta mowa powiedziana była niemal całkiem po francuzku, i tak mi ją do protokołu oddano. Ale ja, kochany czytelniku, cobym rad zawsze z tobą po polsku mówił, choć nie wiem czy mi się to zawsze udaje, wytłumaczyłem ją wiernie; zachowując tylko niektóre wyrazy francuzkie tam, gdzie są potrzebne dla piękności, lub gdzie ich wytłumaczyć nie można. Bo trzeba, żebyś wiedział, iż niektórzy mądrzy i nieskończenie uczeni ludzie uradzili, że się nasz język ani umywał do francuzkiego. Oj!.... ucz się kochanku po francuzku, bo bez tego ani weź.

człowieka, z biédy dosyć na to zdatnego: bo i po francuzku nieźle umie, i po polsku może za nas pisać. *D'ailleurs un bon diable.* Nie podobał się wam, że trochę stary; że nie elegant, macie go nawet podobno za Szubrawca. Co za to, to ręczę, że nie, bo to człowiek ma bardzo piękne *principia. Il est un peu mal élevé*; ale cóż robić? Ja was upewniam, że sama pisać nie będę. *Hortensya* umie pisać po polsku, ale także nie zechce. Nasza młodzież, wiecie, że mniéj umie od nas. Zatém jeszcze wam go raz podaję, lub podajcie mi kogo lepszego. —

— Radabym znalazła kogo innego, odezwała się *Hortensya*, ale cóż kiedy u nas nie ma ludzi. Mam ja wiele, i bardzo wiele przeciw niemu zarzutów; ale skoro przyrzeka stosować się we wszystkiém do naszéj woli, więc niechaj z biédy i będzie.

— Jabym raczéj była za tém, odezwała się Lucya, żeby tu nikogo obcego nie wpuszczać; bo to mogą być nieskończone *pasztety**). A potém, czy ten człowiek pozna się na wartości naszych robót? Czy będzie je umiał przyzwoicie cenić? On, *par ignorance*, gotów się z nas naśmiewać. Czy nie możnaby tak zrobić, żebyśmy koleją pióro trzymały? a napisać do Paryża po atrament

---

*) To jest także wyraz techniczny; a damskie te pasztety, czytelniku, są cokolwiek trudniejsze do strawienia, aniżeli kucharskie.

pachnący, któryby nie rąk nie walał, a któryśmy tylko same czytać mogły.

— Ah! mój Boże! . . . . . a czy jest taki atrament? odezwało się całe zgromadzenie razem. Coby to był za skarb! . . .

— Rozumiem że jest, odpowiedziała Lucya, a gdyby nie było, to go wynajdą. Czegoż w Paryżu nie wymyślą?

— Bardzo dobrze, odezwała się Klimena, ale nim to będzie?— Nim to będzie !... dało się słyszeć kilka głosów razem . . . Do czasu zgoda na kandydata! *Helas!* . . . . zgoda! odezwała się Hortensya!

A tak za danym przez Klimenę znakiem zostałem wprowadzony do sali.

Nie masz, kochany czytelniku, języka, którymby uczucia moje w tym ważnym momencie wiernie wytłumaczyć można. A ja, choćbym miał ochotę, przyznam ci się, że nowego języka komponować nie myślę. Strach teraz wynaleźć choć jedno słówko, kiedy krytykuje nawet Miesięcznik. Może powiesz, że to za panią matką pacierz? Mniejsza o to, ale zawsze krytyka; a krytyka, to nie żart!

Kto czytał historyą, zapewne wie, jak Cyneasz stanął z otwartą gębą jak wryty, uderzony wspaniałością Rzymskiego senatu. Cóżby to dopiero z nim było? gdyby był zobaczył ustanowioną później od Heliogabala wielką radę w czepkach, daleko świetniejszą, strojną, ładną i grzeczną. Bo czy może co wyrównać dostojności magistratury, która na cały wypolerowany

świat, układa, stanowi i ogłasza mody; która przepisuje etykiety i o nich sądzi; która naznacza krój karetom, a strojom i stroikom przyzwoitą formę; ustawia w pokojach i salach kanapy i stolki i stanowi: kto, kiedy, na jakim i jak ma siedzieć; zwłaszcza jeżeli ta magistratura jest ładna, ubrana podług najlepszego gustu i wyperfumowana, a zatém zachwycająca, porywająca i uderzająca wszystkie zmysły razem. Nie masz teraz narodu, któryby się na drugi podobny senat mógł zdobyć, bo upadł gust, upadły kunszta i nauki. Z biédy chybaby w Paryżu coś podobnego utworzyć można.

Nie tak wprawdzie uderzające, nie tak poważne, nie tak jest znakomite nasze Sentymentalne Towarzystwo; ale nie mniéj ozdobne, nie mniéj piękne, a daleko czulsze, owszem tkliwe i prawdziwie rozrzewniające. Na samo zbliżenie się do niego jakaś nieopisana tkliwość porywa za serce, nerwy wszystkie przenika i napawa całą istotę człowieka. Jestto jakieś rozrzewnienie, jakieś opojenie przyjemne, którego nikt nie opisze. Nie byłem ja wprawdzie na obiedzie w Olympie, alem się o nektarze do sytości naczytał. Wiem, że był bardzo smaczny, wiem że na jego wspomnienie oblizowali się Grecy i Rzymianie, wszelako powiem, z przeproszeniem lichmoćiów, że słodycz nektaru jest niczém w porównaniu z owém opojeniem rozkosznem, jakie sprawuje wysoka i czysta sentymentalność. A nareszcie nie wiem; nie będę się sprzeczał, bo

może piwowar Jowiszów z sentymentów nektarek warzył, zwłaszcza dla bóstw płci żeńskiéj. Zostawuję to do rozstrzygnienia łchmość panom starożytnikom i hellenistom. Ja zaś szczérze ci powiem, czytelniku kochany, że gdyby sobie nie wiedzieć jak głowę łamać, to tego nie opiszę i dalibóg nie wiem co to było. Zdawało mi się, jakoby rozpuszczona w powietrzu najczystsza tkliwość składała atmosferę zgromadzenia i była jego żywiołem. Nią oddychało wszystko. W niéj pływały członki towarzystwa, jak pączki w maśle. Wstępując w ten przybytek wytworności i rozkwilenia, w tę świątynią wykwintnego smaku, postrzegłem albo raczéj poczułem w sobie niesłychaną i niepojętą odmianę. Zdawało mi się, jakobym wszystkie grube i prostackie części mojéj istoty za drzwiami zostawił. Wprowadzony wpadłem w zachwycenie prawdziwe, rozumiałem szczérze, że jestem na polach Elizejskich; dziwno mi tylko było, jakem się tam dostał bez spotkania się wprzód ze starym Charonem i z owym przeklętym Cerberem, który wprzód umarłych na wszystkie strony oszczeka, nim do wieczności wpuści. Prawdziwie, rozumiałby kto, że to recenzent jaki.

Skoro ochłonął i cokolwiek przyszedł do siebie, Klimena skazała mi palcem moje miejsce, którem natychmiast zasiadł za prześlicznym stolikiem. Po czém ładna prezydująca wyłożyła mi w krótkości moje obowiązki, z których, prawdę mówiąc, były niektóre dość twarde. Np.

Żebym przed każdém posiedzeniem wziął kąpiel i odmienił bieliznę. Żebym się zlał całą flaszką wódki kolońskiéj. (Choćby i dwiema, odezwała się Pamela). Żebym nigdy nie wchodził do zgromadzenia w bótach, ale w trzewikach i jedwabnych pończochach. Żebym natychmiast porzucił mojego krawca, który jest oczewiście stary pedant bez najmniejszego smaku. (A może i brudny żyd! dał się słyszeć głos jakiś). Żebym się na posiedzeniu nie pokazywał inaczéj, jak we frakn najnowszego kroju, a to podług paryzkiego *Journal des modes*, którego wybornego pisma Towarzystwo trzyma 15 exemplarzy, dla rozszerzenia w kraju poloru i światła. — Z téj okazyi wniosła Palmira, żebym *pour être utile*, przyjął na siebie wydawanie tego dziennika po polsku. *Żeby też przecie i po wsiach parafianistwo wykorzeniać.* Ale Pamela powstała przeciw wnieśieniu i przekonała wszystkie członki, żeby to było rzeczą zupełnie śmieszną. — *A quoi bon?* rzekła, któżby to czytał? czy nie kupczyki na jmabrach albo pijaki w szynkach i winiarniach? A potém, wiecie co się u nas dzieje: Brukowe Wiadomości gotowe to wyśmiać.

„Któżby na to uważał? odpowiedziała Eugenia, dobrze żeby coś czytano po naszych kawiarniach, tak jak za granicą. — „A pfe, odpowiedziała Pamela, co tobie w głowie, *ma chère*; wszakto powiadają, że nic brudniejszego! A

potém jaki tam zły ton! — Prawdziwie to wstyd, że też u nas nie ma nic dobrego.“

„Nadewszystko Mospanie sekretarzu, odezwała się Lucya, porzuć WPan swój bezcenny kapelusz, któżto słyszał wchodzić do dobréj kompanii z przetakiem na głowie; bo prawdziwie ma minę przetaka. *Fi donc!* na co takie ogromne koło; dosyć zostawić brzeżek. Wierz mi WPan, porzuć to Szubrawstwo, a zostań człowiekiem jak należy. A naprzód zapisz sobie WPan kapelusz z Petersburga.“ — Ukłoniłem się bardzo nisko, i postanowiłem rad nie rad rozstać się z kochanym moim kapeluszem, choćby też przyszło i oczy stracić na słońcu.

„Dobrzeby było ostrzedz Jegomości, odezwała się Aspazya, że my tu nie możemy znieść żadnego stuku, ani żadnego wrzasku, co wskroś przeraża i wstrząsa wszystkie nerwy. Bo to u Jchmościów czasem pięknie głośno gadać, albo nogami tupać. Mnie każde stuknienie, mnie kichnienie do konwulsyi wstrząsa. Dlatego gdybyś WPan dostał kiedy kataru, to lepiéj na sessyą nie przychodź.“ — Jakoż uważałem w sali, jakąś niepospolitą, jakąś szczególną ciche. Bo choć niektóre członki mówiły ustawicznie i po kilka razem, ale głosem tak przyduszonym i słabym, że miał niejakie podobieństwo do tkliwego mruczenia strumyka, jęku synogarlicy, lub świegotania ptaszął. Mnie kazano cicho siedzieć, i wtenczas się tylko odzywać, gdy będę o co zapytany.

„Oto jest, odezwała się do mnie Klimena, rzucony na papier rys naszych ustaw. Trzeba, żebyś WPan podług myśli, które mu podam, napisał na przyszłą sessyą wstęp do tego dzieła. Tylko proszę, żeby to było bez żartów, bo ja tego nie lubię. Jest to pisane po francuzku, ale WPan czytaj po polsku; bobyś nam mógł swoją pronuncyacyą i uszy pokaleczyć i spazmów napędzić.“ — Wziąwszy więc papier, przejrzałem go na prędce i zacząłem czytać, gdy Aspazya przerwała mi natychmiast mówiąc: „A pfe, *Ma chère amie*; jak on krzyczy! . . . to do niewytrzymania! — Poczekaj WPan. — Czy nie możnaby go ma *chère* ekranem zasłonić? żeby ten wrzask jakkolwiek stłumić.“

Usłuchano rady, i natychmiast postawiono przede mną ekran, a ja czytałem zwolna i podawałem przez artykuły do *deliberacyi* co następuje. Za drugim wszakże artykułem żądały członki, ażeby rzecz całą odłożyć do następującego posiedzenia, ile że zostanie do napisania wstęp cały. Na co nastąpiła zgoda powszechna.

ROZDZIAŁ VII.

Ustawy Sentymentalnego towarzystwa.

Naprożno mężczyzni sobie przywłaszczają wszystko; sobie tylko przyznają talenta, sobie zasługi: kiedy polor, oświecenie i zdolności płci naszej codzień więcej jaśnieją; kiedy znakomite kobiety w każdym rodzaju chwały pierwsze trzymają miejsce. Społeczność składa się, tak jak sam człowiek, z duszy i ciała. My więc jesteśmy duszą, oni tylko ciałem społeczeństw. Do nich przeto należą grube, ciężkie, mechaniczne i podłące roboty; do nas to wszystko, co znamionuje wyższe władze duszy, szczęśliwą lekkość myśli, doskonałą czułość i smak zupełny. Umiejętności nawet ciężkie, suche i nudne, dla nich niech będą; ale owe wiadomości i nauki wyższego rzędu, w których panuje prawdziwa wytworność czucia i smaku: w których tylko dusze

rzetelnie tkliwe rozkosz znajdują; w których się rozrzewniać lub rozkwilać wypada; gdzie grube męzkie wyobrażenia cienkości pojęcia naszego dopiąć nie zdołają: te są i muszą być naszą własnością. Należy więc kształcić i jak najmocniéj pielęgnować to wszystko, co jest niewieściém, a co dzikie i nieokrzesane umysły zniewieścialością przez barbarzyństwo nazwały. Należy wyrazowi temu wrócić właściwą szlachetność: bo od tego wyższość, szczęście i chwała ludzkich pokoleń zawisła. Tymczasem z żalem wyznać przychodzi, iż takie jest zaślepienie powszechne, że nie tylko narody i mocarze nie dbają o to, ale nawet znaczna i znakomita część płci naszéj nie zna swojéj zacności; nie ceni, jak należy, swoich przymiotów; nie stara się o ich wydoskonalenie i ozdobę. Z tego względu niżéj podpisane jednoczą się w towarzystwo, którego zamiarem będzie, nie tylko wydarcie mężczyznom [illegible] wyższości, ale i coraz mocniejsze doskonalenie płci własnéj, a nadewszystko piękuych jéj przymiotów. Potrzeba więc naprzód wytępić parafijaństwo i prostactwo; potrzeba rozkrzewić i, jeżeli można, upowszechnić wykwintność; zaprowadzić piękną literaturę, i nie tak smak, jak wybór w czytaniu: czytania takiém, które podnosi, gładzi i stroi umysł, które pojęcia nie trudzi, a rozczula serce i najwyższą napawa słodyczą. Słowem, potrzeba przytłumić bakalarstwo, wytępić barbarzyństwo i gotyzm w myślach i uczuciach, a podnieść sen-

tymentalność, rozrzewnić serce, a umysł podnosić aż do sfery dla grubych dusz niedostępnéj. To tedy ozdobienie, ulotnienie i wystruganie umysłu, aż do przyzwoitéj lekkości, będzie pierwszym zamiarem zgromadzenia naszego. — Drugim będzie i niemniéj istotnym, ozdobienie się i przymilenie zewnętrzne, a przeto połączenie najwyższéj przyjemności z najpiękniejszą nauką. Ozdoby albowiem zewnętrzne są znakomitym ludzi zaszczytem. I dlatego przykro jest pomyślić, a tym przykréj widzieć, jak niektóre źle myślące i źle wychowane osoby nie dbają o stroje i mody, lekce ważą rady modniarek, nie trzymają żadnych strojowych dzienników i ważą się nawet naśmiewać z osób dobrze myślących, które żyć umieją. Z tegoto zaniedbania smaku i pięknéj literatury pochodzi, że widzimy tak wiele prostaczek mówiących bez czucia, wyboru, i smaku, i nieumiejących się nastroić do tonu właściwego dobrym towarzystwom. Zkąd [illegible] tak wiele domów źle meblowanych, pojazdów bez najmniejszego gustu, sukien bez kroju. Ztąd ubieranie się dziwaczne, równie jak źle strojenie sal i pokojów, śmieszne zawieszanie firanek i luster, niegodziwe zastawianie stołów, potrawy bez wyboru i stylu. Jedno tylko rozkrzewienie sentymentalności i tkliwéj literatury, może temu złemu zapobiedz. Ażeby zaś niniejsze towarzystwo tym pewniéj zamiaru swego dostąpić mogło, zastępujące sobie przepisuje organiczne prawa.

Art. I. Towarzystwo nasze nazywać się będzie „Sentymentalném.“ — Zgoda.

Art. II. Urzędniczki i przyjmowane nanowo członki wybierać się będą większością głosów. — Zgoda.

Art. III. Nie przyjmuje się do towarzystwa żadna osoba, która się zatrudnia brudném gospodarstwem; jeździ na kontrakta dla interesów; po folwarkach się szasta, lub odbywa drogi dla spraw jakich. Z téj przyczyny, gdyby którejkolwiek z członków dowiedziono; że była choć raz w spiżarni lub kuchni; że wie, wiele ma indycząt, lub kurcząt, albo że słuchała ekonoma rachunków; ma być oddalona natychmiast. Zatrudnienia albowiem takie przytępiają prawdziwą tkliwość, i są przeciwne czystéj sentymentalności. — Zgoda.

Art. IV. Żadna z członków nie powinna karmić dzieci, bo to psuje płeć delikatną i piękną kibić. Niewulgaryzą tę posługę należy zostawić chłopkom. — Zgoda.

Art. V. Gdyby której z członków dowiedziono, że się daje rządzić mężowi, lub cierpliwie znosi jego impertynencye, ma być oddalona natychmiast. — Brawo! odezwały się wszystkie. nienmiejąca po tradycyi przyjęta żadna osoba szyn akcentem; a zatém żadna nie przez Francuzkę wychowana. Na dowód zaś, że jest w tym języku uczona, powinna każda przynieść wypisy przynajmniéj z trzech sławnych romansów i swoje

nad niemi uwagi, albo powinna sama napisać w tym języku romans lub powieść sentymentalną; powinna opisać życie jakiéj nieszczęśliwéj ofiary czułości, lub ułożyć kilka tkliwych listów miłosnych. Takowe pisma służyć będą za materyał do roczników towarzystwa a sekretarz powinien je ułożyć po polsku.

Artykuł ten był przyczyną wielu uwag i sporów. Aspazya albowiem zabrała głos i prosiła towarzystwa o zastanowienie się nad tém: iż, jakkolwiek nieszczęśliwa moda pisania popolsku upowszechniać się zdaje, wszelako nie wypada towarzystwu iść za tym bezecnym zwyczajem. „Naco ta polakerya? Któż nas, rzekła, czytać będzie? Polacy dosyć piszą, ale ich nikt nie czyta i wiemy, że książki ich butwieją po księgarniach, albo idą u nas na papilloty. Czyż nie lepiéj zjednać sobie sławę za granicą. Inaczéj nikt o nas nie będzie wiedział, a w Paryżu nie przestaną nas mieć za barbarzyńce.“

Na to odezwała się Hortensya: że jakkolwiek jest rzecz przykra tłumaczyć myśli swoje w języku, którego ładna część Europy nie zna, wszelako gdy ta nieszczęśliwa moda już między nami przemogła, gdy inne europejskie iść za w swzwyczajem, tym bardziéj, że dotąd język polski był tylko obrabiany od kaznodziejów lub twardych i źle wychowanych mędrców; a zatém, nie ma dotąd téj delikatności, téj pulchności, owéj rozrzewniającéj miękkości, owéj udatno-

ści, i owych powabów, jakie my tylko nadać mu możemy. Jeżeli zaś idzie o zrobienie sobie sławy za granicą, dosyć będzie powybierać honorowe członki ze wszystkich narodów i porozsyłać im patenta, jak robią inne towarzystwa uczone.

Na tenj ostatni punkt powszechna nastąpiła zgoda, ale większa część członków nie przestała prosić, aby je uwolnić od pisania po polsku.

— Uspokójcie się, rzekła Klimena, dosyć dla nas rzucać od niechcenia myśli na papiér, a do sekretarza należy odlać je jak najlepiéj w pospolitym języku. Tak zaś jest grzeczny, że tego zapewne nie odmówi.

— Dóbrze, rzekła Eugenia, ale czy potrafi przeniknąć i trafnie oddać całą delikatność naszych uczuć? Bo cóż nam z tego, że po swojemu napisze, jeżeli to będzie tak twarde i nieokrzesane jak pospolicie bywają roboty tych lehmościów.

— Ale cóż począć, rzekła Klimena, tymczasem trzeba zacząć od tego.

— Więc pozwólcie nam, odezwała się Pamela, przynajmniéj to pofrancuzku zostawić, czego żadnym sposobem popolsku wyrazić nie można. Tak skojarzą się przecie dwa języki, a nasze Polaki powoli do francuzczyzny przywykać i oświecać się będą. Bo jużci, arouez, u nas ten jest oświecony i dobrze wychowany, co choć przez dziesiąte pofrancuzku mówi.

Zdanie to dosyć przypadło do smaku i artykuł szósty większością głosów został przyjęty.

Art. VII. Przez wzgląd na rozmaite zasługi i postępek w sentymentalności, rozdawane będą w towarzystwie miejsca i stopnie. Do tych nadaje prawo każdy dowiedziony akt nadzwyczajnéj czułości, lub rozrzewniającéj miłośnéj ofiary. Ażeby zaś doskonalić coraz mocniéj tę piękną cnotę, obowiązują się członki dobrowolnie zachować następujące przepisy. 1) Czytać będą jak najwięcéj tkliwych i czule napisanych romansów, powieści, podróży, tragedyj, oper i listów rozrzewniających. Na samo ich czytanie przepisuje się godzin cztery na dzień. Resztę można poświęcić na tkliwe rozpamiętywanie tego, co się czytało, na ronienie łez gorących za nieszczęśliwe ofiary cnotliwych sentymentów, i na zbieranie uwag rozmaitych. 2) Będą unikać wszelkiéj pracy i fatygi; odpoczywać miękko i czule na łóżkach, sofach i miękkich kanapach; a to w negliżu*) do godziny czwartéj po południu, poświęcając ten czas lekturze, lub tkliwéj rozmowie. 3) Gotowalnia ma być staranna i uczona, od godziny czwartéj do szóstéj. 4) Obiad być powinien w najlepiéj dobranéj kompanii, równie jak wieczór i herbata. 5) Napoju zaś tego używ[illegible] resztę wieczora przy muzyce i paleniu wonnych [illegible] po wszystkich pokojach, w towarzystwie czuléj i przedziwnie wychowanéj młodzie-

*) Jestto ładny i staranny ubiór osób wieczorowych.

ży, lub tkliwych i serdecznych przyjaciółek. 6) Pójdą spać o drugiéj lub trzeciéj po północy, a wstawać będą o dwónastéj z rana. 7) Zachowają najściślej ochędóstwo nie pospolite, ale uczone; to jest: ubierać się będą lekko i przezroczysto, napawać najwonniejszemi perfumami, dobierać strojów mających sentymentalne znaczenie lub nazwisko i tkliwe kolory. 8) Nakoniec mają wychowywać dzieci, a mianowicie dziewczęta, sposobem całkiem sentymentalnym; chować je delikatnie, z wielkiém staraniem o białość i miękkość skóry, o piękność włosów i kształtną kibić. Nie będą ich narażać na ostrość otwartego powietrza, na zimno, wiatr; a nadewszystko na słońce. Mają trzymać dla nich Madamy francuzkie czytane i sentymentalne, ile być może. Te będą wcześnie wpajały w dziewczęta gust do francuzczyzny i wszystkiego zagranicznego, a malować żywo grubijaństwo i nieoświecenie nasze. — Zgoda.

Art. VIII. Żadna z członków nie będzie [illegible] wieczory, kasyna, bale lub pikniki, suknі takiéj, jaką [illegible] którakolwiek z jéj towarzyszek: bo to bywa przyczyną [illegible] i ostrych przekęsów. Dlatego będzie przed każdym [illegible] zwołana sessya, na któréj się członki o ubiory ułożą. — Zgoda.

Art. IX. Każda odmiana w strojach i stróikach, w meblach, pojazdach, etykiecie, będzie roztrząsana na obradach i przyjęta lub odrzucona. W tym ostatnim przypadku, choćby

członki towarzystwa innego były zdania, powinny się poddać jego wyrokom.

„Ale to niesłychana tyranija, odezwała się Aspazya. — „Dobrze mówisz, rzekła Pamela; jam tego gotowa nie słuchać. — „To cóż będzie? zawołała Hortensya, zginiemy niezgodą. — „Ty zawsze musisz postawić na swojém. Niechże więc i tak będzie! westchnęła Aspazya.

Art. X. Nie będzie wolno mówić na raz więcéj, jak trzem członkom, wyjąwszy prezydującą, która ma prawo mówienia zawsze i ciągle. Zgoda — z lekkim uśmiechem.

Art. XI. Ponieważ się znajdują i pomiędzy mężczyznami tacy, którzy z delikatności uczuć i myśli podobni są do kobiet i warci być niemi; przeto zgromadzenie nagradzając krzywdę, którą im przyrodzenie wyrządziło, podejmuje się przyjmować takich do swego grona, gdzie, jeżeli wytrzymają potrzebne próby, wezmą patent na prawdziwe kobiety, i od tego momentu będą mogli używać ich przywilejów i zaszczytów.

„Prawdziwie, to [illegible] myśl, odezwała się Pamela, z którego to wzięto autora? „Ja szczerze mówię, żeby się warto nad tém zastanowić i rozciągnąć. Jam zawsze mydlała, że są bardzo dobre chłopcy, et des gens comme il faut, którychby warto przyjąć do naszego grona. N'est-ce pas? — Zgoda! zawołano.

Art. XII. Mogą być przyjmowani do towarzystwa. *Naprzód*: Wszyscy młodzi chłopcy wy-

chowani za granicą i nieumiejący popolsku. *Powtóre*: Ci wszyscy, co bawiąc się zawsze w towarzystwie kobiét, lub dysząc nad czułą i rozrzewniającą lekturą, doskonałą sentymentalnosć, umieją ją cenić w kobiétach, i mają owę tkliwą duszę, jakiéj opisać niepodobna, a która jest najpiękniejszym darem nieba. (Tu dały się słyszeć liczne westchnienia.) *Potrzecie*: Ci, których sposób życia i postępowania wyższy nad pospolity, pokazuje doskonały gust i polor. np. ci, co bilety do przyjaciół i przyjaciółek pofrancuzku piszą, choć nie umieją. Co w tym samym języku piszą lub sztychują własne urzędy i imiona na wizytowych karteczkach. Ci, którzy w dzień śpią, a bawią się noc całą; którzy trzymają francuzkich lub angielskich kucharzy i kamerdynerów; którzy się nie odzywają inaczéj jak zagranicznym językiem; stąpają z góry i z góry patrzą na swoich ziomków i to wszystko co jest krajowe. Ci, którzy stanąwszy w pozytyrze, gryzą z szyderskim uśmiechem usta, lub nóca piosneczkę i wybijają nogą drobniuteńki takcik, gdy im mówią o czém krajowém. *Poczwarte*. Ci wszyscy, którzy z mierným majątkiem mają sentyment pański, a zostawiwszy podle gospodarstwo komisarzom lub ekonomom, żyją na wielkim świecie i żyją wspaniale. *Popiąte*. Młodzież prawdziwie dobrze wychowana, to jest: ubierająca się zawsze podług mody, wyperfumowana, ładnie tańcująca, czytająca romanse, a uciekająca od nudnych nauk i niezasnego bakałarstwa. — Zgoda! Zgoda!

Art. XIII. Dla pokazania zaś, że przyp-szczeni do tego zaszczytu mężczyzni prawdziwie nań zasługują, będą zasiadali na posiedzeniach towarzystwa w czepkach. Oprócz tego, wolno im będzie nosić zawsze i wszędzie kolczyki w uszach, pugilaresy lub sztuczczyki ze zwierciadełkami i z perfumami flaszeczki. Wolno im także będzie nosić wstawiane zęby; chędożyć je pachnącym proszkiem; brwi i włosy farbować, a nawet, za otrzymaném na to szczególném od prezydentki pozwoleniem, i rużu używać. Wszakże pozwolenie to za szczególne tylko i znakomite zasługi dawane będzie: np. gdyby kto wymyślił nową wodę, znalazł lub przynajmniéj sprowadził wodę na plamy i piegi, maść na brwi lub usta i t. d. — Zgoda!

Art. XIV. Gdyby którykolwiek z członków miał pospolite imie; co dla prostactwa rodziców często się zdarzyć może: tedy za wniesieniem do towarzystwa przybierze inne, z najsentymentalniejszych romansów wyjęte.

Gdy na ten punkt powszechna nastąpiła zgoda; prezydująca wniosła, aby dać inne imie Lucyi: ponieważ to jest i pospolite i wszędzie od prostaków używane. Każda zatém z członków radziła inne, z których Lucya Florynę wybrała.

„Jakież więc będą imiona dla mężczyzn? odezwała się Palmira. — „Naturalnie kobiéce, odpowiedziała Pamela. Czyż ich można Maciejami albo Bartłomiejami nazywać?

Art. 15. Posiedzenia towarzystwa mają zawsze być zachwycające, i dlatego, przed zaczęciem każdéj sessyi, sala ma być magnetyzowana, ażeby wszystkie członki jasno widziały, jak przez sen. Cokolwiek się zaś powie lub wyśpiewa magnetycznie, będzie podawane do pism krajowych, które się w tym rodzaju już sławą okryły.

„C'est très bien, rzekła Aspazya, bo to przecie da poznać w Berlinie, jak postępujem w oświeceniu. — „Dobrze, odezwała się Palmira; ale któż będzie magnetyzował? — „Po to trzeba się udać do Kłecka, odezwało się kilka głosów, bo jużci stamtąd mamy najdowcipniejsze i najprawdziwsze postrzeżenia w tej mierze.

ROZDZIAŁ VIII.

Wyprawa czwarta.

Jużemci też czytelniku dość długo prawi androny nie ruszając się z miejsca. Musiałeś się dobrze znudzić; więc dla rozerwania się i dla zdrowia pójdźmy na przechadzkę. Mamy teraz, chwała Bogu, gdzie chodzić i coraz nam przybywa więcej miejsca do rozrywki. Mam też nadzieję, że się w tym stosunku i nasza liczba pomnoży. Bo jak nie mam, kochany czytelniku, żadnego przed tobą sekretu, tak ci się szczerze przyznam, iż jestem człowiekiem tak dobrej duszy, że nigdy nie cierpię najmniejszej zazdrości; nawet, jakto pospolicie między ludźmi bywa, ani w mojém rzemiośle. Otoż z duszy się cieszę i z tego, że mi coraz więcej towarzyszów przybywa, i że się mamy gdzie podziać.

W tych dniach powróciłem z pobulanki prosto przez Trocką ulicę, nic nie myśląc, a podług mego zwyczaju mocno zamyślony. Jakaś niezle ubrana kobiéta zbliżyła się powoli do mnie, niezmiernie mi się przypatrując; a potém poznawszy mię niby i twierdząc, że mi ma coś powierzyć, prosiła na stronę. Zdziwiło mię cokolwiek, jaki może mieć interes kobiéta, któréj nie znam. Ta, odprowadziwszy mię trzy kroki na bok, zwierzyła się, iż jest w nagłéj potrzebie: że przejeżdża przez miasto, a ma męża chorego i dziecko słabe. Byłbym może uwierzył, w prostocie duszy, tak poufałemu i prawdziwie przyjacielskiemu wyznaniu; ale żem się dla wysłuchania go dobrze nachylił, uderzył mię mocny zapach wódki, tak żem się w tył cofnął. Nie miałem jednakże serca odprawić przyjaciółki z niczem i wsparłem stosownie do zapasu, jakim miał przy sobie.

Idąc daléj, postrzegłem jakiegoś rubasznego, poczciwéj miny staruszka, oczywiście wieśniaka, który także sprowadzony na bok kładł coś w rękę znajomemu mi oddawna hultajowi, udającemu się za nieszczęśliwego oficera. Poczciwy starzec, wierząc widać fałszywéj powieści, oglądał się niespokojnie naokoło, znać z bojaźni żeby poczciwca, którego wspierał, nie zawstydził. Wzdrygnąłem ramionami widząc, jak często dobra wiara ludzi poczciwych na złe bywa użyta.

Te dwa zdarzenia obudziły nieco moję uwagę: zacząłem się pilniéj przypatrywać przechodzą-

cym. Widziałem przesuwające się dość często ubóstwo. Jedni zatrzymywali się i prosili o wspomożenie wyraźnie, inni nic nie mówiąc wyciągali ręce; inni nakoniec nie śmieli prosić, ale kłaniając się z pokorą miłosiernem spoglądali okiem. Ale wzdrygnąłem się niemało, gdy mijając Dominikańską ulicę zastedł mi znowu drogę ów JWPan, który mię kiedyś tak groźną miną wylajał. Poznałem go z daleka i strwożyłem się nieco, widząc, że i on ma oko na mnie i prosto idzie na moje spotkanie. Z początku mszwałem się na bok; ale widząc, że i on zmienia kierunek i chce mię spotkać koniecznie, zdobyłem się nakoniec na nieustraszoną postawę i zastedłem mu prosto w oczy. Nuówczas uskoczył bardzo grzecznie z drogi, mówiąc:

— Daruj Pan, że Go zatrzymuję, ale radbym wiedział gdzie Pan stoisz.

Powiedziałem mu więc moje mieszkanie.

— A o którymby czasie można Pana wolnego zastać?

— Kiedy się podoba, odpowiedziałem, ale ja często wychodzę.

— Będę uważał, rzekł dalej, kiedy Pan do siebie powrócisz.

To spotkanie i zamówienie sobie momentu do pomówienia sam na sam, zastanowiło mię nieco. Pomnąc albowiem na ową groźną minę, jaką na tym Jegomości spostrzegłem za pierwszem spotkaniem, anim wątpił, że ma od owego momentu urazę do mnie; że to musi być z profesyi

junak, i że nie dla czego innego się chce widzieć sam na sam ze mną, tylko dla wyzwania mię na pojedynek. Rozbierałem więc w myśli obszernie całą a całą honorową sprawę, traktowaną u nas tak często przez najsławniejszych autorów, nie piórem wprawdzie, bo to nie zabija, ale pistoletem albo szabelką. Rozważałem, czy wypada podług reguł tak szanownego kunsztu, dać sobie odciąć nos lub ucho, a może i głowę rozpłatać. I gdym sobie nad rozwiązaniem tego wielkiego problematu mózg suszył, spotkałem starego i walecznego niegdyś żołnierza, z którym miałem dawną zażyłość. Opisałem mu więc moje zdarzenie i moję obawę, prosząc o zdanie: czy się wypada bić z takim Jegomością, który mię za to ma wyzwać, że mu nasze zejście się na ulicy wcale nie przypadło do smaku. Rozśmiał się poczciwy weteran, mówiąc:

— Jeżeli mam powiedzieć prawdę, nie ma słusznego powodu do pojedynku; ztemwszystkiém trzeba się bić, jeżeli cię wyzwie.

— Ale zmiłuj się, kiedy ja go nie znam i nigdy nie miałem z nim nic do czynienia.

— Mniejsza o to, dla tego się bić trzeba.

— Ale za co?.... Przyznam ci się żem sobie jeszcze życia nie sprzykrzył.

— Tymci lepiéj; z większą zginiesz sławą: wszyscy ludzie honorowi wspominać cię i chwalić będą, bo wypełnisz najściślejsze prawa honoru.

— A cóżto honorowi szkodzi, że moje uszy i mój nos cały?

Tu zaczął się starzec śmiać do rozpuku, mówiąc:

— Ty widzę bardzo swój nos kochasz. A czy dałbyś dukata, albo rubla za niego?

— Ach dla Boga, wszystkobym oddał!

— Otoż się nie będziesz strzelał ani rąbał, zawołał, i śmiejąc się odszedł.

Oszedłem i ja, ale cale niekontent, bo przekonany, że stary żołnierz żartował ze mnie. Wróciłem więc do domu w bardzo złym sosie. Co się temu dziwakowi marzy w głowie? mówiłem sam w sobie: chce naprzód żebym się bił, a potém powiada, że dukatem albo rublem skończę. Nie... to być nie może. Jakto z panem tak skończyć, on mię pewno obetnie. — Poszedłem więc do zwierciadła, chciałem się jeszcze raz porachować i nacieszyć z rozmaitemi częściami to twarzy to ciała mojego; a wreszcie chciałem rozważyć, któraby z nich z najmniejszą stratą na odcięcie poświęcić. Jestto dawne i już w przysłowie zamienione prawidło, żeby z dwójga złego mniejsze obierać. Ludzie też dawno się zgodzili i na to: że jedne części ciała są szlachetniejsze jak drugie. Na cobym się i ja zgodził, i poświęciłbym z najmniejszą krwią kawał brody lub nosa w kim innym; ale kiedy idzie o własną skórę, nie pozwala sumienie, i trudno się człowiekowi nawet z zębem rozstać! Tymczasem cóż robić kiedy potrzeba? Wszystko więc ważąc na szali, jużem się był począł nakłaniać na rozstanie się z kilką palcami. Niechże więc, myślałem se-

bie, idą na ofiarę temu bałwanowi, który nazywamy honorem. W tém przyszło mi na myśl, żebym musiał przestać pisać, a zatém tobiebym, kochany czytelniku, nie dotrzymał słowa. Nowy zmbaras. A nuż ten Jegomość nieliterat i téj wymówki nie przyjmuje? Trzeba się tu poradzić przyjaciół. Wziąłem się więc za kapelusz i laskę, i już się wybierałem w drogę; gdy w tém drzwi się otworzyły szeroko, i z niemałém dla mnie podziwieniém JW. z wielką powagą do pokoju wtoczyć się raczył. Rad nie rad zdobyłem się na odwagę; przywitałem go z należytą godnością i prosiłem siedzieć na kanapie. JW. gość gwałtem się wymawiał, chcąc siąść na stołku; ja zaś zawsze mając pojedynek w pamięci, dopótym się kłaniał i prosił, dopókim go nakoniec nie posadził na sofie, sam zaś siadłem na stołku, prosto naprzeciw niego; żeby lepiéj uważać nieprzyjacielskie obroty.

— Piękną mamy zimę, odezwał się mój gość. — Prawdziwie piękną, odpowiedziałem ja. — Nieszczęście, mówił daléj, sam z niéj korzystać nie mogę.... Tu dopiero po krótkiéj przerwie, wszedłszy w materyą, uwiadomił mię: iż od bardzo dawnego czasu zbierał się złożyć mi swoje uszanowanie, ile że znał kiedyś bardzo dobrze ś. p. ojca mojego, z którym miał szczególne zachowanie; że miał nawet szczęście znać ś. p. moję matkę; że był zawsze szczególnym przyjacielem całego mojego rodzeństwa, a z matki jest mi nawet krewnym cokolwiek. W tém miejscu ukło-

nilem się nizko; on zaś dał mi krótki ale dokładny wykład znacznéj odnogi swojego drzewa rodzajowego; potém opisał swoję młodość, swoje zawsze szlachetne zamysły i postępki; przywiązanie do kraju i t. d. Nakoniec wyłożył obszernie, jak przez różne wypadki pozbawionym został bardzo znacznego majątku. Dodał potém, iż pomimo tego spada nań bardzo znaczna sukcessya, ale że pozbawiony jest sposobów dochodzenia jéj ... a zatém ... a zatém ... a zatém ... prosi o pożyczenie pieniędzy, które za osiągnieniem należnego spadku że odda natychmiast, słowem honoru ręczą; a nawet jeżeli tego potrzeba, oblig wydać jest gotów. Tu już poznałem oczewiście, że wcale między nami nie o proch idzie i zacząłem przenikać, co znaczył ów śmiech starego żołnierza i upewnienie, że dukatem lub rublem wszystkie a wszystkie członki ciała mojego okupić zdołam. Ochłonąwszy więc cokolwiek nb. nie ze strachu, ale ... z podziwienia, ważając jak ten Jegomość pięknie i mocno mówił, przypomniałem sobie, żem się i ja kiedyś uczył retoryki, i że to właśnie jest piękna sposobność do wystąpienia i pokazania co umiem. Zacząłem więc przywoływać na pamięć co tylko kiedy od moich nauczycielów krasomówstwa ważnego i pięknego słyszałem; nie w tym celu ażeby figurami retorycznemi rozmaite członki, bo te poznałem że już bezpieczne, ale żeby, jeżeli się uda, moje dukaty pokryć i obsłonić. Teraz że, myślę sobie, pokaż wymowo co umiesz! Wzią-

uszy wiec poważną postać, poprawiwszy czuba i pomuszawszy się po brodzie, zacząłem mu arcy wymownie przekładać: jak teraz są ciężkie czasy: jak ś. p. ojciec mój, z którym on był tak w ścisłem zachowaniu, i matka moja niebosczka (Panie swieć nad jéj duszą), która miała szczęście być z nim spokrewnioną, nic mi a nic nie zostawili: jak nawet nigdzie najmniejszéj nie mam do dochodzenia puścizny: a zatém, jak podług wszystkich a wszystkich prawidel logiki i retoryki, nic mam mu co pożyczyć. Słuchał bardzo cierpliwie i pilnie: z czego poznałem, że był prawdziwym miłośnikiem wymowy i cieszyłem się, że mię moi professorowie nie darmo uczyli. — Ale gdym skończył, zabrał głos powtórnie. Zaczął mi bardzo skromnie przekładać, iż niepotrzebnie się jego propozycyą zrażam: że on nigdy nie przywykł wymagać nad możność; że nam jest o ciężkości czasów przekonany; ale że jego potrzeby tak są nagłe i dokuczające, iż przymuszony jest szukać wsparcia naprędce; że się udaje się jedynie do osób, których dobroć serca i szlachetny sposób myślenia powszechnie są znajome; a ponieważ zdanie publiczne i moje w téj liczbie mieści, zatém pewien jest, iż nie zawiodę jego nadziei, ile że prawdziwie ze wstydem mu wyznać przychodzi, iż nie ma za co zjeść obiadu.

Tu dopiero z żalem i upokorzeniem poznałem, że był wymowniejszy ode mnie: a że podług

ostatecznego wyznania albo wypadało prosić albo dać na obiad; więc obrałem ten ostatni środek, i takeśmy się przecie rozeszli. — Cieszyłem się wprawdzie, że moje palce przy mnie zostały, alem mu nie mógł darować, że się w ciągu rozmowy pokazał wymowniejszym odemnie. Fe do kata! myślałem sobie, czyto taki pojedynek? — Przecież ja jako uczony powinienbym wszystkich przegadać, a tu padłem zupełnie i trzeba było wymowniejszemu zapłacić. Prawdę mówiąc, przytarło to trochę rogów mojéj literackiéj dumie.

Jeżeli jednak prawda, że mój gość nie miał sobie za co kupić obiadu, tedy życzyłbym nauczycielom retoryki z tego postrzeżenia korzystać i na przyszłość wypróżnienia kieszeni i czczość żołądka położyć za najpierwszą sprężynę krasomówskiego talentu. A lubo ś. p. konsul Cycero, ich patryarcha, nic o tém nie pisze; nie powinno ich to zastanawiać bynajmniéj: nigdy albowiem nie był w takiém zdarzeniu, żeby prosił o obiad; chociaż łatwo się domyślić, żeby był umiał on prosić, bo o domek swój dosyć się żarliwie domawiał. Ale to sobie jest uwaga prosto literacka. Nieliterackie zaś są następujące: *Naprzód.* Za co szlachcianka na Trockiéj ulicy tak się mocno wpatrywała we mnie, nim mię wzięła na sekret? Muszą żebracy z professyi, którzy dobrze umieją swoje rzemiosło, mieć pewną naukę lub pewną trafność, za pomocą któréj z wejrzenia poznają swoję zdobycz, jak wilcy barana. Bo

uważałem często, iż z pomiędzy wielu przechodzących, niektórych tylko zatrzymują, całe nie zagabując innych, których twarz nie im nie obiecuje. *Powtóre*: Zdaje mi się, że nasi żebracy na kilka klas się dzielą; a przynajmniéj, tak jak my sami, na pospólstwo, szlachtę i panów. Z tych wyżsi całe się nie kojarzą z niższymi, owszem nimi gardzą, mają swój własny sposób żebrania i swój osobny styl. Pospólstwo zwyczajnie stoi pod kościołem lub siedzi pod murem, mówi paciérze, lub śpiewa pieśni nabożne, a przechodzących głośno prosi albo ręce wyciąga; szlachta bierze na stronę i zwierza się swoich potrzeb w sekrecie, przynosi prośby na piśmie, lub przysyła listy. Żebracy zaś panowie zaczynają od przypuszczenia do swojego pokrewieństwa; potém wyliczają swoje familijne związki, swoje znaczenie i swoje ofiary dla kraju, i nie proszą o jałmużnę ale o pożyczenie; a odwołują się do gorliwości obywatelskiéj. Prostacy proszą w imię Boga i miłości bliźniego, szlachta w imię miłości braterskiéj. Panowie zaś robią z swojéj potrzeby interes publiczny, a dar przyjmują tak, jak gdyby dającemu świadczyli łaskę. *Nakoniec*: Zkąd u nas tyle żebraków? kiedy należy oddać sprawiedliwą pochwałę publiczności, iż jest i miłosierna i prawdziwie dobroczynna. Towarzystwo dobroczynności zajmuje pierwsze w prowincyi osoby; ma znaczne fundusze, wzniosłe wspaniałe gmachy i zasilane jest hojnemi, a coraz nowemi składkami. Towarzystwo to opatruje nie małą liczbę ubogich. Tym-

czasem nie tylko ich na ulicach i po domach nie ubyło, ale się owszem zdają mnożyć w stosunku dobroczynnych ofiar i składek. Widzimy ich i spotykamy na wszystkich spaceraeh, schody i przedpokoje osób dostatnich nimi są zawalone. Zdaje się, że to jest sposób życia, który sobie obierają z gustu i ochoty, a zatém że wkrótce żebracy osobny stan stanowić mają. Należy więc to złe powściągnąć, należy każdego żebraka, nakładającego podatek na czułość i dobrą wiarę publiczności, zapytać: dlaczego nie chce nic robić? — Jeżeli jest w rzeczy samej niedołęgą albo kaleką, fundusze dobroczynne są dla niego; w przypadku przeciwnym powinien być skarany i przymuszony do pracy. Ci, którzy się odwołują do nadwerężenia praw przez to osobistéj wolności, nie uważają że sprzyjają rozpuście złych, a na poczciwych narzucają ciężar nieznośny; nie uważają, że zwierzchność krajowa ma prawo zapytać się każdego: czém się w społeczności zajmuje? Próżniactwo jest pierwszym początkiem i twórcą występku. Rozumie się nieoświecone próżniactwo. Bo jużci spodziewam się, kochany czytelniku, że nie darmo do ciebie tak dawno piszę a piszę, i że musisz do tego czasu być przyjacielem moim i filozoficznych próżniaków, zacnych kollegów moich. Wszakże prawdę mówiąc, my walęsamy się tylko, ale nikogo nie prosimy o nic, albo prosimy tylko o łaskawe uebo, gdy nas napadnie niepowściągniona chętka gadania albo pisania. Nudzimy sobie świat potrosze, ale go nie obdzieramy. Dla

tego sobie wczesnie z téj okazyi wymawiam, że gdyby kiedy do zbierania próżniaków z ulicy przyjść miało, ja i koledzy moi, jako ludzie bardzo pożyteczni i zasłużeni, powinniśmy być z pod tego prawa wyjęci.

ROZDZIAŁ IX.

Wyprawa piąta.

Chociaż ludzie tak się po większéj części kochają, iżby jeden drugiego rad jak najmniejszym kosztem, to jest, po naszemu, w łyżce wody utopił; wszelako nikogo Pan Bóg całkiem nie opuszcza, i jaki taki ma jakiegoś przyjaciela, lub jakichś przyjaciół. Otóż i mnie dał Pan Bóg takich.

Mistykillo np. jest moim przyjacielem od serca, i tylko moim. Jest on z powołania nowiniarzem; czyta wszystkie gazety; wie wszystkie zdarzenia i nowinki miejskie i wiejskie; bywa po wszystkich domach, kawiarniach, jadalniach czyli garkuchniach i bilardach; wszędzie się przysłuchuje, postrzega, uważa, a kiedy rozumie, że już jakiéj nowiny pewien, niesie ją do mnie. Wtenczas, jako człowiek który wszystko wie,

ale mówi z największą ostróżnością, wchodzi z wolna i niby ukradkiem; ręce zaciera z wielkiém znaczeniem; zastanawia się, ogląda naokolo i cedzi po słówku pod wielkim sekretem. Gdy to czyni, patrzy mi z wielką uwagą w oczy, a bąkając ni to ni owo i ostróżnie cedząc przez zęby, każe się reszty domyślać. Poczém dopiero, ścisnąwszy mię za rękę z miną bardzo misteczną i poważną, prosi o sekret, a nadewszystko prosi, żeby nie wspominać, że to wiem od niego. Tak z łaski mojego przyjaciela, i wiém wszystko co się u nas dzieje, i nic nie wiem.

Wczoraj spotkałem się z nim na ulicy. Skoro mię postrzegł, obejrzał się naokolo i zbliżył do mnie, a potém, zastanowiwszy się nieco, zapytał pocichu:

— Czy wiesz przypadek Cześnikowéj?

— Nie wiem, odpowiedziałem.

— Jakto? w Zakrecie.

— Nie wiem.

— Wszakże wiesz, że szambelan jeździł do Warszawy.

— I cóż z tego?

— Otóż onegdaj powrócił.

— Mniejsza o to.

— Tak . . . ale w tém cała rzecz . . . . bo widzisz, on tu z Warszawy pisał o wszystkiém . . . a potém . . . w Grodnie . . .“

Tu się mocno zamyślił: potém nagle, jakby obudzony dodał:

— Tylko zmiłuj się nic nie mów.

— Nic, pewno nie powiem.

— A wiesz, że dziś herbata u pani N... ja tam właśnie idę i, jeżeli chcesz, pójdź ze mną; ja cię wprowadzę.... Tylko zmiłuj się nic nie mów; boby się zaraz domyślili, że to wiesz ode mnie, ale uważaj tylko, a zobaczysz.

Nie mając tego wieczora nic lepszego do przedsięwzięcia, dałem się namówić tym łatwiéj, żem jeszcze nie wiedział, jak się też przecie w wielkich kompanijach odpoczywa.

Wchodząc zastałem wiele osób i gwar dosyć przyjemny. Trzeba się było przez tłok ludzi do gospodyni przedzierać; która grzecznie mię przywitawszy, prosiła siedzieć, co i zrobiłem. Mój przyjaciel i przewodnik opuścił mię natychmiast i poszedł w tłum na podsłuchy, ja zaś siedząc zacząłem się przypatrywać zgromadzeniu.

Damy siedziały przy gospodyni w koło i rozmawiały dosyć głośno i żwawo. Jeden z gości spowiadał, z miną rozkochanego w sobie trzpiota, tegodzienne swoje przypadki na wizytach, przy gotowalniach, na śniadaniu i obiedzie. Siedząca przy nim P. sędzina śmiała się do rozpuku; tak zaś miała śmiech napogotowiu, że kto tylko usta otworzył, chichotała się pełną gębą i z całéj duszy. To pobudzało do śmiechu niektóre z jéj sąsiadek, które się także śmiały; lubo nie mógłem dostrzedz, czy z opowiadającego panicza, czy z rozchichotanéj sędziny.

Dwie najbliższe moje sąsiadki bynajmniéj nie słuchały téj rozmowy, ale obróciwszy krzesło

do siebie nawzajem, mówiły bardzo żwawo i z wielkiém natężeniem. Nadstawiłem więc pilnie ucha i dowiedziałem się, iż się śmiały z niezgrabnego ubioru, w jakim wystąpiła na ostatniém wieczorze wspólna ich przyjaciółka. Opisania tego ubioru były dosyć zabawne i żywe. Od niego przeszły nieznacznie do innych śmieszności i wad przyjaciółki. Jedna opisywała jéj sknerstwo, druga umizgi; pierwsza znowu chęć i talent do obmowy, druga zbyteczne i śmieszne sadzenie się na stroje; mówiły obszernie i o jéj wieku, śmiejąc się z zmiemanéj młodości; zawsze jednak kończyły na tém: że z resztą bardzo jest dobra kobieta, i że ją niezmiernie kochają. Gospodyni tymczasem widząc, jak powieści młodego trzpiota bawiły niektóre z jéj gości, wyzywała go na dalszą rozmowę rzuconemi tu i ówdzie zapytaniami, które także niezmiernie sędziną śmieszyły.

Między niemi siedziała także w tém gronie, w sukni różowéj, przynajmniéj sześćdziesiątletnia strojnisia z niezmiernym na głowie zawojem i cała kameryzowana; bo obsiana od stóp do głowy to kamieniami, to perłami; ale tak rzuconemi nieporządnie i niezgrabnie, jak gdyby je wiatr poroznosił. Dla mocnych zapachów, któremi się jak mumiją zlała, nie podobna było zbliżyć się do niéj. Rozmawiała zaś ta wytrawna piękność ciągle o ubiorach i modach, pytając się za każdym razem, czyby jéj taki ubiór był do twarzy? Uważałem, że wszystkie sąsiadki

na nię zwróciły oczy i wszystkie sobie gryzły usta od śmiechu, kiedy niespokojna gospodyni coraz inne zaczynała rozmowy, chcąc i ją i bawiące się z niéj towarzyszki czém innem rozerwać; ale się nieustraszona Nimfa niczem z drogi sprowadzić nie dała i nie przestała zaprzątać zgromadzenia przez cały wieczór.

W drugim pokoju widać było wesoło biegające i grą jakąś zabawne młode panienki. Mężczyzni zaś częścią siedzieli lub stali w kupkach osobnych, częścią przechodzili z pokoju do pokoju i wszyscy byli rozmową zajęci. Młody tylko pan sędzia całe na to nie uważał, miał albowiem sam z sobą zatrudnienie niezmierne. Spoglądał sobie to na nogi, to na kamizelkę, to na rękawy: to je obcierał, to coś z nich zdejmował; to znowu gorsa to chustki poprawiał. Kiedy niekiedy bardzo zgrabnie i niby w zamyśleniu, to półkole, to całe koło na jednéj nodze opisywał. Czasem się przysuwał to do jednéj kupki, to do drugiéj i zdawało się, że już coś powie, gdy nagle, zrobiwszy półkole, w prawo lub w lewo odchodził, a obejrzawszy się po drodze w zwierciedle, znowu się półkolem do drugiéj kupki lub do dam zatoczał. Obraz żywego ukontentowania na twarzy okazywał, iż młody urzędnik dobrze się bawił i nie darmo na kompanija przyszedł. Ja chcąc się z pomiędzy dam wyśliznąć, a nie widząc w towarzystwie nikogo z poufałych moich, szukałem oczyma Mistykilly i ledwom go dostrzegł słuchającego przy piecu z naj-

większą uwagą jakiegoś Jegomości, który mu w sposobie bardzo poważnym szeptał do ucha. Ile mógł uważać, Jegomość ten musiał mieć równą potrzebę opowiadania, jak mój Mistykillo przysłuchiwania się. Ledwo się albowiem nawinął ktoś drugi, gdy puściwszy co prędzej Mistykillę pochwycił go za rękę, a w kąt zaparłszy mocno coś i z zapałem opowiadać zaczął. Widziałem jak ten biedny pacyent kręcił się na wszystkie strony i rozważał, jakby się wyrwać; ale baczny mówca trzymał go mocno za rękę i oka z niego nie spuszczał, a tymczasem prawił a prawił. Szczęściem dla niego nawinął się ktoś inny, którego gdy żarliwy opowiadacz pochwycił za polę, tamten zręcznie się wymknął i aż w trzecim oparł się pokoju. Mój zaś Mistykillo podchodził niezmacznie i bardzo uważnie coraz pod inne gronko i tak pilnie ucha nadstawiał, że cała jego istność w niém się skupiać zdała.

Ruszyłem téż i ja z miejsca chcąc podejść do drugiego pokoju; a przedzierając się przez zgromadzenie powoli, otarłem się około licznego grona, w którém jeden tylko stojący w pośrodku wciąż prawił, kiedy inni wszyscy słuchali, śmiejąc się często ale z cicha i nieznacznie. Wtém postrzegłem siedzącego na boku Strukczaszego. Miał on obok siebie nieznajomą mi osobę, z którą rozmawiał; a gdym się z nim przywitał, pokazał mi poczciwy starzec próżny przy sobie stolek, który i zająłem. Poznał mię naprzód z swoimi

sąsiadem, panem regentem; a potém zapytał, jakim sposobem zaszedłem w tak luczne towarzystwo? ja, co się tylko po ulicach i spacerach walęsać lubię. „Przyprowadził mię tu Mistykillo“ odpowiedziałem. „Ach! to jedyny człowiek, odezwał się pan regent, musiał panu wiele tajemnic odkryć.“ „Nu, powiedz mi, rzekł Strukezaszy, jakże ci się podoba ta kompanija?“ „Dosyć jest liczna, odpowiedziałem: ale ja tu prawie nikogo nie znam.“ „Boś u nas cudzoziemcem, nigdzie nie bywasz. Ale przecie, któż cię tu zastanawia, albo obchodzi?“ — „Dosyć wielu. Oto proszę mi powiedzieć, kto jest ten Jegomość blisko nas stojący, którego obstąpiono naokoło, który bez ustanku mówi i wszystkich śmieszy?— „Jestto Jegomość, odezwał się pan regent, który sobie obrał za jedyne zatrudnienie i rzemiosło, mieć dowcip, wszystkich bawić i do śmiechu pobudzać, i takich artystów jest u nas dosyć; wyzwolony ten kunszt bardzo teraz wszedł w modę. Materyą ich rozmów są śmieszności, jakie postrzegają i wytykają w innych, albo błędy lub wady, które umieją wyśmiać. Uczą się oni swojego kunsztu, a na każde posiedzenie muszą się gotować jak na publiczną mowę lub kazanie. Na nieszczęście, ich literatura nie jest obszerna i dość szczupłe zapasy. Bo, prawdę mówiąc, dowcip na ich gruncie nie rodzi, jest to pożyczony towar i nie zawsze w dobrym gatunku: a cały magazyn aż do dna się wypróżnia, jeżeli kto ma cierpliwość słuchać ich do końca. Komu się zaś

dostanie spotkać tych panów powtórnie, usłyszy znowu od początku tę samę lekcyą. Jesteś WPan w tém zgromadzeniu nowém zjawieniem, a żeś się temu dowcipkowi nawinął na oko, ani wątpię, że jesteś w tym momencie celem jego żartów; bo widzę, że obróćił oczy na WPana, a jego słuchacze odwracają się od nas i starają się dusić śmiech w sobie.“ — „Mniejsza o to, . . . jeżelim w rzeczy śmieszny, trudno ludziom śmiechu zabronić. Ale ja tu widzę więcéj osób podobnie rozprawiających, i widzę, że słuchacze przechodzą od jednego grona do drugiego, od mówcy do mówcy.“ „Czy pan przybywasz ze wsi?“ mówił daléj. „Tak dobrze jak ze wsi“ odezwał się Strukczaszy. „Bo trzeba wiedzieć, dodał jego kollega, że w naszych towarzystwach są osoby, które mają większe prawo mówienia niż inne, i to są prawdziwi nasi mówcy. Wszyscy ich słuchają i nadstawiają ucha, skoro głos zabiorą.“ „Więc to są ludzie z rozumem i dowcipem?“ „Owszem, nie dbają pospolicie ani o jeden, ani o drugi, albo nawet nie wiedzą co to jest, ale mają potrzebną śmiałość i głos donośny; a nadewszystko innym mówić nie dadzą, tłumiąc ich to powagą to zuchwałością, to krzykiem, to śmiechem. A potém, nikt się z nimi o pierwszeństwo nie ubiega; bo któż może mówić z taką pewnością jak oni, którzy wszystko wiedzą, a wszystko doskonale“ — „Zacóż ich więc słuchają?“ — „Jakże nie słuchać? kiedy przy nich mówić? A potém, niektórzy z nich są ludzie w znaczeniu, a u nas urząd nie tylko na-

daje w kraju rangę, ale i podług rangi dowcip w kompanii. Dlatego kto nie ma znaczenia, ten i mówić w dobrém towarzystwie nie może, choćby miał i rozum i dowcip razem. Jużto trzeba wiedzieć: postanowiono raz na zawsze, że taki jest i śmieszny i nierozumny. Uważaj WPan tylko. Kiedy się np. odezwie pan marszałek lub pan sowietnik, to prości sędziowie i sekretarze słuchają i milczą. Oprócz tego, jak skoro cała piękna publiczność zgodziła się na to i postanowiła, że pan marszałek koniecznie ma więcéj dowcipu od pana sędziego, tak natychmiast musi opuścić tego ostatniego, a iść słuchać pierwszego, skoro się odezwać raczy." — „Jakże, to się i dowcip nadaje na sejmikach? — „A jakżeś rozumiał? odezwał się z uśmiechem Strukczaszy; nadaje się bez wątpienia, tak jak talent, nauka, poczciwość i zdatność." — „A gdyby się odezwał z nas który, co nie mamy znaczenia? — „To nas nie będą słuchali, odpowiedział regent, i albo się tyłem obrócą, albo jaki taki usta przygryzie i odejdzie. Wreszcie gdyby się nam udało powiedzieć coś bardzo do rzeczy lub dowcipnie, uśmiechną się wszyscy, ale z przekąsem: wymawiając nam niejako, że się śmiemy popisywać z dowcipem, który jedynie do JJWW. należy. Niechże się tylko odezwie który z tych ostatnich, choćby też z doniesieniem: że zimno; wszyscy się kupią około niego; a jeżeli JW. uśmiechnąć się raczy, śmieją się jak najęci; JW. zaś niezmiernie kontent, że ma tak naturalnie dowcip i

rozum. Wszakże takie prawo jest tylko dla nas nieboraków, którym z losu wypadło rodzić się na téj ziemi: bo jeżeli wnidzie do zgromadzenia jakikolwiek zagraniczny włóczęga, lub wietrznik, i ustroi się w przyzwoitą godności swojéj cudzoziemskiéj powagę, wszystkim usta zamyka. Szanują go natychmiast, przemawiają jego językiem, i słuchają pilnie nawet ci, którzy tego języka nie umieją.“ — „Czyż to prawda? panie Strukczaszy?“ — „Oj! tak na nieszczęście, odezwał się starzec z westchnieniem: i to mię téż najwięcéj boli. Mości panie, nie jeździłem ja chwała Bogu za granicę, ale wiem, że przecie każdy naród sam siebie i kocha i na pierwszym ma względzie: my tylko jedni sami sobą gardzimy i chwytamy skwapliwie każdą popisania się z tém sposobność. Jeszcze przed kimże się popisujemy? oto przed tymi samymi włóczęgami, którzy się chlebem naszym tuczą i gardzą w gruncie nami. Co tylko jest zagraniczne, poważamy; co tylko nasze, mamy za nic i ledwo nie nogami depcemy.“ — „Dla Boga, przesadzasz panie Strukczaszy! znają się u nas na ludziach i umieją ich szanować, gdy tego warci. — „Prawda, odpowiedział Strukczaszy, wszyscy to mówią, ale radbym żebyś mi pokazał choć jeden przykład. Było to kiedyś, ale-śmy téż wtenczas byli ludźmi.“

Gdyśmy tak rozmawiali, drzwi się otworzyły szeroko i wszedł poważnie wielkim krokiem jakiś okazały i także poczęści kameryzowany mąż-

czyzna, który zaledwo głową kiwnąć raczył. Postąpił potém zwolna na środek pokoju i, oglądając się naokoło, stanął w pozyturze. Nie on do nikogo nie mówił, a jeżeli mu się kto z towarzystwa ukłonił, ręką lub głową znać dawał, że dobrze. Mój Strukczaszy ledwo się w głos nie roześmiał, a obróciwszy się do mnie, rzekł: „Patrz WP. czy wielkie towarzystwa i sobadzki nie są prawdziwą tandetą, na której każdy swój towar rozkłada. Jedni tu przynoszą dowcip prawdziwy albo mniemany; inni za dowcip pełną gębę śmiechu; ci ciekawość, tamci nowiny które rozdają publicznie, albo za wielką łaskę w sekrecie. Są co przynoszą tylko suknią, albo tylko swoje znaczenie i swoję figurę, jak ten Jegomość; przecież wszyscy odchodzą kontenci.“ — Wtém zaczęto roznosić herbatę, nastąpiło poruszenie powszechne, a ja wyszedłem.

Niech sobie Strukczaszy mówi co chce, ale ja widzę oczywiście, że zgromadzenia wieczorne są wybornym sposobem zabijania czasu; a zatém dla nas próżniaków niepospolitym wynalazkiem. Jakbyto inaczéj długie wieczory przepędzić? Przespać ich niepodobna, ziewać u siebie w domu nie wypada; bo cobyto było ziewania po wszystkich kątach? Daleko więc lepiéj zgromadzić się i ziewać razem; a przytém popisać się przecie z tém co mamy i co umiemy; podciągnąć pod krytykę sąsiadów i sąsiadki; dla miłości bliźniego wytknąć ich wady i przenicować; nara-

dzić się o sposobach ziewania na wieczór następujący; i t. d. Życzę ci więc, kochany czytelniku, bywać na wieczorach, na tańcujących, siedzących i chodzących herbatach, pikuikach i kasynach, i ja będę bywał.

ROZDZIAŁ X.

Pochwała Włoczęgi.

Dobra to rzecz, zdrowa i pożyteczna mieć mocne nogi i należycie ich używać. Mój przyjaciel Biegajło, ledwo wstanie, zaraz zwiedza wszystkie ulice, wie zkąd wiatr? jaka pogoda? co w którym kącie słychać? kto do miasta przyjechał i po co? jak długo się zabawi? wie, wiele w zimie stopni mrozu a w lecie ciepła? jak wysoko barometr? jaka za miastem droga? kto się ożenił? kto zachorował? kto umarł? Zbierając te wiadomości ostrzy sobie apetyt, a gdziekolwiek zajdzie na obiad lub śniadanie, jé smaczno i ma co powiedzieć. Za to zdrów i jak rydz wygląda; wszystkim słabym radzi agitacyą i dobry humor, a nadewszystko, radzi na nic nie uważać i o nic niedbać. To mi to przyjaciel! to gość w domu! i dobrze radzi i jé jak najęty.

a przez to daje dobrą mysl i wraca stracony apetyt. Jakże Biegajło przychodzi do tych nieocenionych korzyści? Oto włóczęc się od rana do nieczora.

Widzisz tedy, czytelniku, jak jest włoczęga zbawienna. Niech sobie ludzie mówią co chcą, ja zawsze powiadam, że jéj nic nie wyrówna. Ani mię to zastanawia, że się nie wszystkim podoba; bo cóż wszystkim dogodzi? Wszakże i cnota sama podlega wymówkom. A potém, któż nie wie, że walęsanie się i włóczenie ganią starzy, kulawi, podagrycy; słowem, niedołęgi i kaleki. A dlaczegoż ganią? Bo sami chodzić nie mogą. Ale za młodu i za zdrowia było i ich wszędzie pełno; wszędzie tak dokazywali jak drudzy. Wielka mi cnota ganić to, czego sami nie mamy! Wszak Ezop powiada, (a to jest jeden z najlepszych historyków) że pewien znakomity lis namawiał, przez miłość dobra pospolitego, swoich braci, żeby sobie pucinali ogony; a to dla tego, że jegomość swój stracił w żelazie. A ja powiadam, że gdyby mi przyszło wybierać, czy sobie dać odciąć nogi czy głowę, wolałbym raczéj poświęcić tę ostatnią. Na co ona potrzebna? przeszkadza tylko człowiekowi do szczęścia. Czyż nie widzimy, jak się ludziom bez głowy dobrze powodzi? a jak ci, co ją mają, źle na tém wychodzą? Dobre nogi i dobry apetyt, to grunt! to prawdziwe szczęście! a grzbiet giętki i czoło wytarte, to talenta! to przywileje na wszystko. Ale zkąd mi te uwagi i poco?

Rozumiałby kto, że i ja mam głowę. Boże uchowaj! Żyłem ja dość pomiędzy ludźmi, żeby się nauczyć niedbać o nię. A potém, wiem z doświadczenia, że nogi są wszystkiém, bez nich do niczego się nie dójdzie; bez nich nie możnaby stać po kilka godzin w przedpokoju, a nadewszystko włóczyćby się nie można, a przecież włóczenie się i wałęsanie, jeżeli nie daléj, to choć z ulicy na ulicę, stanowi prawdziwe szczęście, bawi umysł, kształci figurę, daje apetyt i zdrowie. A rozumże co lepszego dać może? A jeszcze nie wiedzieć czego, to jeździmy, to wysyłamy a wysyłamy poń za granicę. Ja atoli upatruję w tém choć jedno dobro, to jest: że się przez to przyznajemy niezmacznie, że to towar cudzoziemski, że to owoc co na naszym gruncie nie rodzi, a jeżeli tak jest, jakże się panowie miłośnicy bez nóg i wędrówki do niego dobiorą?

Jabym, podług licheg zdania mojego, tak trzymał: że włóczenie się i szatanie, choćby tylko z kąta w kąt, tak jest nieodbitą potrzebą człowieka, jak jedzenie i picie. A do dla tego, że potrzeby te są nierozdzielne. Bo wszakże, czy przed śniadaniem, czy przed obiadem, koniecznie się nam chce przejść lub przejechać; koniecznie ruszamy choć na Pohulankę albo Antohol, a z biedy przynajmniéj pod ratusz; jeżeli nie na długo, to choć na godzinkę. Naturalnie, kto zgubił apetyt, musi go iść poszukać; a podług moich żołądkowych postrzeżeń, które kiedyś wy-

dać myślę, znajduje się go cokolwiek na ulicach i pod ratuszem; a więcéj w Hrybiszkach lub na Pohulance; jeszcze więcéj w Zakrecie lub Swistopolu, a w Werkach lub Niemieży najwięcéj. Dlatego nie wiem, zaco dziwak jakiś, pomiędzy przodkami naszymi, rozsądne włóczenie się i poważne ni ztąd ni z owąd nazwał *zbijaniem bąków*. — *Naprzód*, mógłbym mu łatwo dowieść, że się grubo pomylił; ale nie wdając się w rozprawy, ktoż nie widzi, że bicie, łowienie, czy strzelanie bąków, jest gatunkiem polowania, tym chwalebniejszym, że bawi bez kosztu. Ten albowiem gatunek myśliwstwa zajmuje większą część naszéj młodzieży, nie potrzebując ani psów, ani strzelby, ani sieci, ani oblaw kosztownych. Nikogo nie zjadł, nikomu nie kosztował ucha ani nosa, a wszystkich niewymownie bawi. Jest to polowanie bez interesu, a zatém prawdziwie honorowe, warte zachęcenia i pochwały.

Ci zaś, co niekiedy zaglądają w drukowane książki, wszyscy co do jednego wiedzą, że włóczęga tak jest potrzebna do chwały i wielkości człowieka, jak, nie przymierzając, rura do harszczu. Bo czy kogo uwielbiają poeci, czy wynoszą historycy, czy filozofowie za wzór wystawują; proszę się przypatrzyć, zawsze to był włóczęga. Za piecem siedząc nikt się, moi Panowie, ani chleba nie doczekał, ani sławy nie dobił. Wszak wiem, jak ów ślepy a zawołany bard grecki ukochanego swojego franta Ulissa przez wszystkie morza i lądy prowadzi; na tysiączne

a tysięczne kurdy naraża, jedynie dla tego, żeby mu zjednał sławę i żeby pokazał, że jego frant jest wzorem mądrości. Powiecie może, że to niepotrzebnie, że nasze franty tak daleko nie jeżdżą, że ich zwyczajne susy nie są większe jak z Wilna do Mińska, z Mińska do Nowogródka, a ztamtąd znowu do Wilna; chociaż czasem, dzięki lepszemu przemysłowi i coraz większym długom, i do Kijowa sięgną. Powiecie, że mimo to Ulisses był przeciwko nim frycem, i że gdyby go wzięli pomiędzy siebie, aniby panicz postrzegł, jakby gładko swoję Italę wypuścił. Prawda! — Ale też to są inne wieki — ale co kraj to obyczaj. Czyżby Homer, gdyby żył między nami, potrzebował frantów aż w Itace szukać? Pewnie że nie. — Wszelako plac jego poematu musiałby być przynajmniéj między Kijowem a Mińskiem. A któż nie przyzna, że i to kawał drogi. A zatém nie bez włóczęgi. — A cóż przechwalebni i ubóstwieni dawni rycerze, Bachus, Herkules, Tezeusz, nie byłyż to włóczęgi szukające po całéj ziemi chwały i guzów? Po to samo, a może i po chleb, wychodziły z północy i od Kaukazu owe niezliczone peregrynantów roje, które wywróciły ogromne państwo Rzymskie. A tak niezrównana potęga, jakiéj trzy części świata zachwiać nie mogły, padła ofiarą wyższéj potęgi włóczęgów. — Komuż jakkolwiek oczytanemu tajna nieporównana chwała wędrownych rycerzy, owych nieodzałowanych płci pięknéj obrońców, których świetną historyą zapieczętował drogiéj pamięci Don kiszot z

Mansy i nieoszacowany jego szeregowiec Sanszo Pansza. Cito rycerze byli duszą wszystkich romansów; oni ożywiali pieśni Trubadurów, oni natchnęli pienia nieśmiertelnego Arjosta. Dosyć w nim czytać czyny Rolanda, który tak wyrywał dęby i sosny, jak my konopie; dosyć uważać Rodemonta jak się po Paryżu wywijał, żeby się domyślić, czém byli ci rycerze i co mogą włoczęgi.

Podróże zaś włoczęgów albo się przedsiębierą w jakimś zamiarze, albo nie mają żadnego celu. Peregrynując, jedni szukają chleba, inni pieniędzy; ci chwały, owi burd i czubów. Artyści wędrują i dla chleba i dla pokazania co umieją, mianowicie na teatrach, widowiskach, przy kuglarskich lub szulerskich stolikach. A wiecie, poco Brennus powlokł się do Włoch z Gallami? — Oto na wina. Dobra to rzecz i musiał ten truneczek bardzo smakować i Gotom, Wandalom i Hunnom, którym się Rzymianie nigdy a nigdy opędzić nie mogli. Jakoż trunki mają swoje powaby! — Kto wie, coby się stało? gdyby kto i dziś zaprosił do jakiéj części świata naszych chłopów na gorzałkę, panicżów na punez, a szlachtę na miodek. Możeby ich nie tylko do Włoch, ale i na koniec świata zaprowadził. Sławny starożytny włoczęga Jazon popłynął do Cherzonu, jak powiadają, po złoto (złote runo), a wywiózł czarownicę. Niejeden tak wychodzi i teraz, kto bierze kobietę dla złotka, chociaż nie wiem żeby kto tak źle wskórał, jak biedny Jazon.

Bo chociaż się zdaje, że Ikar, który chciał z gęśmi i żorawiami za morze odlecieć, także nie najlepiéj wyszedł, bo wpadł w morze i kark skręcił; przecież byłaby to rzecz warta rozstrzygnienia: czy jest lepiéj źle się ożenić, czy się od razu utopić lub kark skręcić*)?

Ja uważając jak interesowność jest naganna, i jak wszyscy a wszyscy, choćby sami postępowali inaczéj, chwalą ludzi nieinteresowanych, postanowiłem zrobić z siebie ofiarę i włóczyć się bez najmniejszego celu i interesu. Nikt, spodziewam się, nie zaprzeczy, że to jest czyn wspaniały, a ja oprócz chwały i to mam w zysku, że czas nieznacznie zabijam. Co jak jest rzeczą ważną, wiedzą wszyscy moi koledzy.

Co do rodzaju wędrówki i włóczęgi; ponieważ ich jest bardzo wiele, mało na tém zależy, jaką sobie kto obierze. Jest w téj mierze nieograniczona wolność i gusta są różne. Naturalnie, wiercipięty kręcą się i skaczą na miejscu; trzpioty latają z domu do domu; ludzie zaś dojrzali i światli przechodzą się lub przejeżdżają poważnie. Są, co wędrują *solo*; inni z okazałym orszakiem; ci z kijem, torbą lub paciorkami w ręku; tamci z pałaszem, piórem lub pugilaresem. Kto chodzić nie może, rad przynajmniéj słucha powieści o różnych zdarzeniach i cudownych przygodach śmia-

*) Właściwie mówiąc, powinnyby konsystorze na to odpowiedzieć

lych wędrowców; albo czyta takie same powieści plotkami tysiącznemi upstrzone. Ważne takie dzieła są w ręku większéj części naszych dam i po romansach pierwsze trzymają miejsce; a nasze sentymentalne boginie nie mogąc się szastać i dokazywać same, bo to niepięknie, na miękich spoczywając łożach lub sofach w myśli przynajmniéj przebywają znaczne lądy i morza, i są świadkami okropnych a nigdy niepojętych awantur. Czasem się rozbijają na morzu i biedzą niebogi na jakiéj odludnéj wyspie; czasem się błąkają w parze po puszczy i słuchają jęku żałośnéj synogarlicy; a czasem w Afryce lub Ameryce na miękiéj spoczywają murawie. Ja tymczasem z tych wszystkich postrzeżeń wnoszę, iż to jest w krwi i naturze człowieka, jeżeli nie rzeczą to choć myślą szastać się, kręcić, dokazywać i hroić. Tym tylko sposobem idzie się do chwały i szczęścia. Sic itur ad astra. Dlategoto poeci od dawna wyszperali i dowiedli, że świątynia sławy bardzo stoi wysoko; chcąc przez to dać poznać, że tam bez mozołu i znacznéj podróży doleźć nie można. Czyli mówiąc po prostu i dobrą prozą: że włoczęgi tylko mogą sławy dosięgnąć. Żeby więc innych uprzedzić, wybrali się lekkomość w drogę na skrzydlatych szłapakach, choć tam, prawdę mówiąc, rzadko który doleci: bo coś zchimeryczał Apollo i nie bardzo teraz daje paszporta. Wszelako słyszałem od wielu godnych wiary, (bo je oni nie zawsze zmyślają) że próg i przysionek świątyni zawalony jest takimi, co się

tam dogramolili czołgając. Jakto? zawoła nie jeden czytelnik, czołgając? Tak, kochany przyjacielu, jest to także gatunek wędrówki, niepospieszny wprawdzie, ale bezpieczny i bardzo korzystny.

U nas mają własny swój sposób wędrowania ci, w których szlachetniejsza krew płynie, i którzy się mają za powołanych do wyższych rzeczy. Ledwo się np. hrabia otrząsł z opieki lub szczęśliwie z klass uciekł, zaraz pożycza pieniędzy i wali do Paryża. Zdarza się, że nie zawsze dojedzie raniony w drodze strzałką Kupidyna, lub zaciągniony do dworu Faraona. Bywa i to, że po odbytym kursie filozofii praktycznéj, o kiju powraca. Ale cóż to szkodzi? Hrabia się dla tego wypolerował, zbladł znacznie, a przez to ma twarz całe interesującą — schudł, co go niezmiernie zdobi — trochę kuleje, i to mu do twarzy .... owszem, jest znakiem niepospolitego człowieka. Za to mówi przez nos akcentem doskonale francuzkim; dla pokazania zaś niepospolitéj nauki, dla przekonania że długo nie był w kraju, źle mówi po polsku; a ważne swoje rozmowy tak krasi rzuconą tu i owdzie francuszczyzną, jak kaszę szwedami. Czyż to są małe korzyści? Dodajmy do tego sławę narodowego imienia, któréj echo, z łaski hrabiego, brzmi i rozlega się za granicą na wszystkie strony. Wjeżdża np. gdzieś hrabia do miasta, brzmią po ulicach postyliońskie trąbki, huczą i plaskają bicze. Zajeżdża do oberży, aż wybiega na przyjęcie cała

zgraja służalców; obskakują pojazd. Tu postylion daje radośne i pożądane hasło: Graf polski! Zaraz je z uśmiechem powtarzają wokoło, zaraz jedni drugim podają z radością. Leci odgłos grafostwa ze wschodów na wschody, z korytarza na korytarz; obija się chlubnie o wszystkie sklepienia; a chłopcy zewsząd, jak oparzeni, z fartuchami biegają. Powstaje nakoniec tryumfalny rozruch po całym domu, a gdzie się obrócisz, wszędzie słychać pełne zaszczytu imię: Graf! — Graf polski! — Graf! powtarzają na ulicy Niemki i podają sobie z okna do okna, z szybki do szybki. Graf! wołają handlarze, przekupnie, najemni lokaje; słowem, jeden tylko brzmi odgłos, a miasto całe powtarza świetne imię naszego Niby-Grafa. A toż mały zaszczyt! — mała chluba dla kraju? Któryż inny naród poszczycić się może tylą grafami? A wszelako, miły Boże! są ludzie zapamiętali, którzy utrzymują, że w Polsce nigdy grafów nie było. Gdzież się ci Ichmość urodzili, gdzie siedzą? — Czy w Ameryce? — Czy nie widzieli, albo nie widzą naszych biletów z odwiedzinami lub z powiuszowaniem? Czy nie czytają napisów na kopertach? — podpisów na obligach? obwieszczeń w kuryerze i rozmaitych drukowanych regestrach i t. d. i t. d.? Niech im Pan Bóg da upamiętanie, a nadewszystko niech im da pieniądze, żeby mogli trochę pocztą polatać, a naówczas zobaczmy, czy nie zostaną sami grafami?

ROZDZIAŁ XI.

Wyprawa szósta. Zielone świątki.

Są u nas, kochany czytelniku, pewne dni w roku, w które, można powiedzieć, że się rusza co tylko żyje. Naówczas mało jest ludzi w mieście, a dorożek i pojazdów nie zobaczysz, bo całe miasto wyjeżdża z miasta albo wychodzi. Są to dni uroczyste, dni przechadzkowe; i można je uważać, tak jak same miejsca do przechadzek, za pewne i nieruchome; inne albowiem odmieniają się często i są, że tak powiem, przenośne. Do pierwszych należą: Zielone świątki, w które jedziemy na Kalwaryą i do Wereh: S. Jan, gdzie ruszamy do Hrybiszek i na Rossę: i S. Piotr, który nas na Antokol zgromadza. W takie dni można widzieć wszystkich na jednem miejscu. Do drugiego rzędu należy każdy święty dzień pogodny, bo jest okazyą powszechnych prze-

chadzek, ale naówczas podzielone są zdania: jedni idą lub jadą na Pohulankę, inni na Antokol, inni do Hrybiszek. Są co aż do Werek lub Niemieży sięgają. Sama tylko piechota rzadko tak daleko zachodzi, ale się bliżéj miasta rozłazi po górach lub ogrodach, albo na ulicach bąki strzela. Oprócz tego, odmieniają się u nas przechadzki tak jak gust publiczności, i co rok mamy coś nowego. Mamy np. od dawnego czasu Tusculanum, a teraz nam przybyło Frascati; tylko się Cycerona nie możemy doczekać. Mamy i Tivoli, miejsce bardzo spokojne, gdzie szum progów rzecznych nikogo nie straszy: a gdzie Mecenas przedaje lody, kurczęta i szparagi. Ja z mojéj strony nie lubię w takie dnie z domu wychodzić. Nie wypada albowiem wyższemu i znakomitemu próżniakowi wałęsać się z pospolitym ludem, a dotego w dni próżniackie powszechnie. Bo wszakże wiesz, czytelniku, że są klasy i między nami, a ja przecię do panów należę. Oprócz tego nie przystoi narażać się dostojnemu człowiekowi na szturkańce w nacisku i wrzawie pospólstwa. Są to wprawdzie gody próżniackie, ale nie dla próżniaka filozofa. Lud pospolity mało nastręcza uwag i postrzeżeń. Trzeba je zbierać w klasie zbytkującéj i rozpustnéj, która się nazywa wykształconą, a która jest po większéj części przekształcona. Bo i w dobrém nie należy przesadzać. Ale jako pospolicie w ludzkich ustawach nie ma prawidła bez wyjątku; tak i ja nie mógłem sobie na ten raz dotrzymać słowa. Dzień

albowiem bardzo był przyjemny. Siedząc długo w oknie, widziałem snujący się lud i bieżący za bramę jak w zawód. Rozumiałbyś, że tam mieli najpilniejszą sprawę, lub że ich gwałtem pędzono. Kręciły się dorożki, to wywożące za bramę, to powracające z pospiechem po nowy ładunek. Nie ma zaś, kochany czytelniku, nocniejszej zarazy nad zły przykład. Dlatego i ja tą powszechną dotknięty chorobą zacząłem się wabać i rozmyślać, ażali nie wypadnie pójść i zobaczyć, co się tam dzieje.

Gdym się więc tak biedził z myślami, wszedł do mnie P. sędzia, dawny znajomy, którego sprawa sprowadziła do miasta. Ten po zwyczajnem powitaniu się i rozmowie o tegorocznych urodzajach i pogodzie, rzekł uśmiechając się: „A co?... Czy nie wybierzem się i my na Kalwaryą?“ — „Właśnie, odpowiedziałem, rozmyślam o tém; bo przyznam się WPanu, że nie mogę wytrzymać, widząc jak się tam wszyscy spieszą. Powiedz mi Panie sędzio, zkąd to pochodzi? — „Dawniéj, odezwał się mój gość, pochodziło to z nabożeństwa, częścią ze zwyczaju, a teraz rzadka z nabożeństwa, ale najwięcéj to z ciekawości, to z chęci poszastania się. A potém, widzisz WPan, i sam nacisk ludu jest także gatunkiem widowiska, na którém się wszyscy jedni z drugich bawią, choć nikt nie powie dlaczego.“ — „Prawda, odpowiedziałem, lubię się i ja ludziom przypatrywać. „Otóż, rzekł, nie ma przyjemniejszego widoku, jak kiedy się nas podobnych miłośników zbierze

kilka lub kilkanaście tysięcy i gdy wszyscy porozdziawiawszy gęby, przypatrujemy się sobie nawzajem. Dlatego i mnie wzięła ochota powlec się z WPanem; tylko nie chciałbym iść pieszo, weźmy lepiéj dorożkę.“ — „Zgoda“ rzekłem i wziąwszy za kapelusz ruszyłem w drogę.

Idąc przez ulicę postrzegłem przebiegającą próżną dorożkę, a woźnicę oglądającego się na około i wyzywającego ochotników na spacer. — „Otóż, rzekłem, właśnie czego nam potrzeba.“ Dałem zatém znak ręką, a oboczny przewoźnik w mgnieniu oka podjechał do nas. —„Poczekaj WPan, rzekł sędzia, trzeba się z nim zgodzić.“ — „A co chcesz przyjacielu, za wiezienie nas na Kalwaryą?“ „Cztery ruble“ odpowiedział rzeski i młody chłopczyna.“ — „Czy masz ty sumienie?“ zawołał zdumiony i rozgniewany sędzia. — „Proszę WPana!.. ja tu owsa przedać nie mogę i nie dają mi więcéj jak cztery ruble za beczkę; a ten chłystek chce tyle od jednego konia!“ — „Jak się Panu podoba“ odpowiedział uśmiechając się chłopiec, i zaczął wolno podjeżdżać daléj. A gdy mój sędzia stał w zadumieniu jak wryty, nie mogąc znieść i pojąć takiego zdzierstwa; nadszedł jakiś officyalista, spytał się o cenę i bez najmniejszego targu wsiadł i pojechał. — Na to zdarzenie Pan sędzia zupełnie oniemiał, otworzył usta i chciał mówić, spoglądając to na mnie to na uciekającą dorożkę; ale zdrętwiały język ruszyć się nie chciał. Nakoniec obudzony jak ze snu, kiwnął głową i zawołał: „Idźmy pieszo, może się powoli

zawleczem.“ Potem szedł długo zamyślony i milczący, a zatrzymawszy się wreszcie przy katedralnym kościele, tak daléj mowę prowadził: „To rzecz, Mospanie, niepojęta i śmieszna! Powiadają, że nasi urzędnicy i officyaliści źle są płatni, i wszyscy się uskarżają na to; przecież oni jeżdżą, a my chodzimy pieszo. — Proszę WPana, czyto słychane rzeczy? przecież my mamy dusze, a oni nie mają.„ — „Prawda, odpowiedziałem ja, ale my nie umiemy robić ekonomiki, a oni to doskonale znają. — Czy rozumiesz to WPan?“ — „Nie rozumiem.“ — „Ah! jakiżeś, Panie sędzio, prostak! — Być bez żadnéj duszy, nie mieć szeląga funduszu, ani intraty, a żyć nie tylko wygodnie, ale i wystawnie, nazywa się *robić ekonomikę*.“ — „Wstydź się WPan, zawołał, jakże to być może? to się nazywa bicz z piasku kręcić!“ — „Otóż ja tak sądzę, rzekłem, że go za pomocą ekonomiki można ukręcić; bo widzę, że kto jéj nie zna, ten nic nie ukręci; a kto ją z gruntu rozumie, ten i dobrze kręci, i kiedy chce, skręci. Czy pojmujesz, Panie sędzio?“ — „Bynajmniéj. — To dla mnie niemieckie kazanie. — Ale przecie, jakaż to jest ekonomika? i jak się nazywa?„ — „Jabym ją nazwał polityczną.“ — „Fe! wstydź się WPan, jakaż to polityka?“ — „Ot widzę, mój sędzio, że się na naukach nie znasz, i jesteś sędzia starój daty. Czy nie wiesz, że uczeni wynaleźli naukę, którą nazwali ekonomiją polityczną?“ — „Słyszałem.“ „Otoż nieuczeni wynaleźli za to *ekonomikę polityczną*, która jest i umiejętnością i kunsztem

razem. Jest to, Mospanie, nauka u nas dość nowa, ale bardzo wydoskonalona.“ — „Dziękuję WPanu za taką naukę: wolę ja być prostakiem i pieszo chodzić.“ — Gdyśmy tak rozprawiali ni w pięć ni w dziewięć, nawinęły się nam trzy dorożki razem, a skoro woźnice postrzegli, że sobie życzymy jednę z nich nająć, zaczęli nam wszyscy ofiarować swoje usługi i otworzył się formalny konkurs; na którym wyszliśmy, zwyczajnie jak na konkursie. Jakiś sumienny podjął się zawieźć nas za cztery złote. Lichszego wprawdzie miał konia, a dorożkę jeszcze gorszą, obszarpaną i brudną; ale że był tańszy od innych, wybraliśmy go zgodnie za przewoźnika. I cóż? — Nowy ambaras. — Jak się tu zmieścić na krótkiéj ławeczce granatowém suknem wybitéj? — Z początku robiliśmy dość długo ceremonije, ofiarując każdy pierwsze miejsce swojemu koledze; ale gdym nakoniec pomiarkował, że sędzia w ukłonach i komplementach mocniejszy, siadłem pierwszy w tyle niby konno*) a mój kolega z wielką biedą bokiem przedemną. Na nieszczęście, sędzia był dość dobréj tuszy; a zatém wtłoczywszy się po-

*) Mówiąc teraźniejszym krojem, powinienbym powiedzieć, żem dorożkę *obnosił*, bo mi się zdaje, że się tak *obnoszą* konie, jak się obnoszą ludzie. Przez ciekawość zajrzyj czytelniku do naszéj edycyi Tysiąca nocy i jednéj, a nauczysz się po arabsku.

między mnie a woźnicę bardzo szczelnie, tak mię w tył zaparł i przygniótł, żem ledwo dyszał. Wykręciwszy atoli do mnie głowę, spytał się: „A co? czy ci dobrze?“ — „Wyśmienicie, odpowiedziałem przyduszonym głosem; niech jedzie! Ruszaj! zawołał mój towarzysz. Jakoż woźnica i chciał ruszyć, ale nie mógł od razu: bo szkapiora poczuła, jak P. sędzia był ważnym człowiekiem i gwałtem się wypraszał od kiermaszu. Lecz że Izraelita był mąż nieustraszony i twardy jak skała*), po mocnéj przemowie i kilkokrotném przełożeniu to z jednego boku to z drugiego, postawił nakoniec na swojém i ruszyliśmy szczęśliwie. I w saméj rzeczy szczęśliwie, bośmy jako tako, kiwając się i kręcąc zygzakiem, to w lewo to w prawo, ujechali przeszło wiorstę za most; gdy wtém licho nadało kamień, którego ani całe doświadczenie, ani zręczność woźnicy ustrzedz się nie mogły. Zawadził o ten fatalny szkopuł**) prawém kołem, i tak nieszczęśliwie uderzył, że oś pękła na dwoje. To szczęście, żeśmy jechali uważnie, a zatém wypadliśmy wprawdzie wszyscy, ale powoli; wszyscy podług nieodmiennych praw ciężkości, choć każdy po swojemu. Bo naprzód, gdy się wysunął koziołek z pod żydka, ten straciwszy podporę swojego środka ciężkości, spuścił

*) Tenax propositi vir.

**) Nie wiem, czyto wyraz polski, ale pamiętam, że go używają pierwsi kaznodzieje i mówcy.

się na ziemię pionowo, i oparł na niéj samym końcem Ogonowéj kości*). Sędzia, który siedział bokiem, straciwszy równowagę nagle, właśnie gdy już drzymać zaczynał, machnął koziołka w kierunku skośnym; a ja, lecąc prosto naprzód, trafiłem samym końcem nosa na ów fatalny kamień, czy szkopuł, który był przyczyną rozbicia się naszego. Nie rozbił się on wprawdzie, tak jak pojazd żydowski, ale nie żartem szwankował; bo się natychmiast krew polała jak z cewki. Przerażeni tak niespodzianym wypadkiem, porwaliśmy się i stanęli w mgnieniu oka na nogach, z wyraźném okazaniem co kogo boli. Biedny sędzia trzymał się oburącz za głowę, a ja za nos. Ale niéma złego, coby na dobre nie wyszło: gdyśmy w tak nieszczęśliwéj przygodzie ubolewali na przeciwne losy, rozpamiętywali dziwactwa fortuny, i łajali naprzemian, to przeznaczenie, to woźnicę; ten nic tak żałując stłuczenia, jak swojéj dorożki i przewidując, że cały ów korzystny dzień ani mu szeląga więcéj nie przyniesie, rzewnemi płakał łzami i jak najusilniéj dowodził, że my byliśmy przyczyną całego nieszczęścia, a zatém że mu nagrodzić powinniśmy. Widziałem więc oczéwisty z tego przypadku proceder, ale że starozakonny stangret skarżąc się

*) Tak anatomicy nazywają os coccygis; tylko nie wiem, czy dla tego żeśmy wszyscy, podług nich, powinni mieć ogony, czy że oni mają!

na zbyteczne obciążenie dorożki, najwięcéj się przypatrywał sędziemu, zatém ja obróciwszy się do niego, rzekłem: „To twoja rzecz panie sędzio, zagodź tę sprawę.“ — „Ani myślę, odpowiedział, niech nas pozwie.“

Tymczasem przechodzące i przechodzący zaczęli się zastanawiać; podbiegli niektórzy ciekawi od rozbitych w bliskości namiotów i obstąpiono nas wkrótce naokoło. Słychać było rozmaite o naszym przypadku zdania, i odbieraliśmy różne a różne to zapytania, to rady. Większość atoli zdań była za tém, że to oczewista kara boska, żeśmy na odpust żydem jechali. Ale co mię najwięcéj bolało i ściskało za serce, była to: że gdy nas żałowano powszechnie, same tylko kobiéty, które przecie tkliwszą mają duszę, a dotego z nabożeństwa albo szły na odpust, albo z odpustu powracały, nie przestawały się chichotać z całego serca. Żyd zaś narzekał, a narzekał na nas i groził skargą do policyi: a gdy rozjątrzony sędzia, trzymając się jedną ręką za głowę, już się zabierał drugą ukarać zuchwałka, usłyszałem niespodzianie znajomy głos: Ach dobrze ci tak, nie bierzesz żyda! Odwróciłem się natychmiast, i postrzegłem z wielkiém kontentowaniem starego strukczaszego, który jechał parokonną bryczką a ujrzawszy mię w ciężkim kłopocie stanął.

— Dla Boga, rzekł starzec, możeś się bar-

dzo potłukł; siadaj ze mną na bryczkę, ja cię podwiozę.

— Dobrze, odpowiedziałem, ale mam oto w towarzystwie pana sędziego; a dotego tak mi się krew z nosa leje, że muszę siąść na murawie i odpocząć. Jakoż to mówiąc zająłem zaraz pobliski wzgórek, a pan sędzia i strukczaszy usiedli przy mnie.

— Poco się wam, moi panowie, przebierać do Kalwaryi? rzekł stary strukczaszy: jeżeliście się wybrali przez ciekawość, możecie ją i tu zaspokoić. Ja myślę jechać daléj, bo muszę odprawić zwyczajne w tym czasie nabożeństwo. Patrzajcie jaka nadjeżdża zgraja!

Jakoż słychać było mocny turkot pojazdów, a ja nie mogąc podnieść głowy, żeby się im przypatrzyć, zapytałem się sędziego, coby to było?

P. sędzia. Jakieś pojazdy bardzo poważne. Same karyolki, kocze i karety, a wszystkie czterema końmi z forysiem.

— Osobliwsza rzecz, odezwał się strukczaszy: poco te cztery konie i forysie? Jeszcześ na Kalwaryą jest kawał drogi, ale naco to w mieście? a przecież żadna teraz z naszych dam, ani w poprzek ulicy inaczéj nie pojedzie.

P. sędzia. Bo to znaczy rangę i dostojność, a to niezle, że się panowie przez to odznaczają.

Strukczaszy. Przepraszam, Mości Dobrodzieju; przecież byli panowie u nas i dawniéj,

byli ludzie dostojni i w znaczeniu, a wszelako po mieście, karetą zwłaszcza, nie jeżdżono inaczéj jak parą końmi. Wszelako pamiętam: że się ludzie mieli dobrze; o exdywizyach nigdy nie słyszano; sądy nie były zawalone fałszowanemi obligami; nie wydzierały dzieci majątku rodzicom ani rodzice dzieciom; nie kradziono dzieciom niedołężnych mężów; dla wydarcia kawałka ziemi, nie szarpano sławy kobiet; nie wydzierano imienia i chleba niewinnym niemowlętom. Teraz o to wszystko nietrudno. Wszyscy jeżdżą czterema, ale pożyczają gdzie mogą; procederów mają bez końca, a plenipotentów i w stolicy i we wszystkich subselliach. Rozumiałby kto, że dla tego zaprzęgają czwórkę, żeby łatwiéj z majątku wyjechać; i widzimy też codziennie jak wyjeżdżają szczęśliwie.

P. sędzia. Prawda, że czasem lepiéj pożyczyć temu, co bryczką jeździ, albo pieszo chodzi; ależ przecie panowie powinni żyć podług swego stanu.

— Ale któż przecie tak hucznie jedzie? odezwałem się do moich kolegów.

P. sędzia. Naturalnie panowie. Muszą to być urzędniki albo grafy.

Strukczaszy. Dobrze WPan mówisz. Jeb to dostojność tak jest wielka, że jéj para koni nie uwiecze. Oj! mamy teraz niemal tyle tych Jchmościów, co dawniéj szambelanów, generałów albo rotmistrzów. Generały i rotmistrze były bez wojska, a grafowie, chwała Bogu, bez pie-

niędzy. Wszystko to po naszemu. Od niejakiego czasu zajaśniała u nas moda, żeby koniecznie być panem i żyć po pańsku; a co najgorzéj, ta moda coraz się bardziéj szerzy.

P. sędzia. I słusznie. Nie zła to rzecz być panem i jeździć czterema końmi z forysiem.

— Prawda, odpowiedziałem: tylko to bieda, że się takie państwo nie każdemu nadaje. Ci co umieją ekonomikę polityczną, mogą się jakożkolwiek trzymać, dopóki ich pod sąd nie oddadzą; ale grafowie zawsze kończą exdywizyą. Nie każdy wprawdzie źle na tém wychodzi: bo to zależy od oświecenia sędziów. Jeżeli ci są ludzie np. prawdziwie światli i umieją ekonomikę; hrabiowie, po gładko przebytéj exdywizyi, jeszcze więcéj szumią i mają to w zysku, że ich nazywają hrabiami dekreta i rozrządzenia rządowe, co im służy na przyszłość za patent.

Strukczaszy. Tak!... A nuż, broń Boże, sędziowie będą prostacy, albo zatopieni w statucie prawniey; to grafów mogą puścić z torbą albo wskazać na wyrobek.

— Na wyrobek, rzekłem, a toż co znaczy?

— Jest to zabytek dawnego barbarzyństwa, odpowiedział P. sędzia.

— Wstydź się Jegomość, rzekł strukczaszy: to jest mądre prawo, które ratuje ile może wierzyciela, a ściga oszusta. Podług statutu, Mospanie, kto nie miał czém długów zapłacić, musiał wierzycielom odrabiać, lub się dać na ich zysk najmować.

P. sędzia. A tóż nie barbarzyństwo! kazać dobrze urodzonym damom lub kawalerom pleć w ogrodzie albo drwa pilować; bez względu na wychowanie, delikatność i szlachetny sposób myślenia?

Strukczaszy. Czyż to się nazywa myśleć szlachetnie: wyludzać majątek od ludzi dobrej wiary, żeby go użyć na zbytek i rozpustę, a potém pozwolić sentymentalnie umierać z głodu całym familiom.

P. sędzia. Mospanie! któż tak rzeczy uważa? Gdyby przyszło iść za ostrém Wpana zdaniem, małobyśmy widzieli czterokonnych pojazdów, a kiermaszby bardzo był ubogi i nudny. Pożyczka jest dobrowolna umowa; a choć się pożyczający obowięzuje oddać, ale się należy domyślać, że jeżeli będzie mógł. Czyż się godzi wskazywać na wyrobek człowieka słusznego, dla tego że podupadł. Szczęściem inne teraz czasy, świat się wypolerował; mamy oświeconych adwokatów i sędziów rozumnych; a zatém zwyczajów barbarzyńskich dawno poszedł w niepamięć.

Strukczaszy. Tymci gorzéj! Podobno to z łaski tego oświecenia upadła dobra wiara i święta prostota, a obyczaje psują się coraz bardziéj. Tenże sędziów i prawników polor, jaki Wpan nazywasz, zatarł i puścił w niepamięć hipotekę, na nasze bankructwo i złą wiarę jedyne lekarstwo. Wpanato światli ludzi ruszają niebo i ziemię, żeby ta zbawienna ustawa, ta jedyna od oszukania i rozboju prywatnych majątków obro-

na, nigdy pomiędzy nami nie zajaśniała. Ale idźmy na odpust, idźmy z ludem do kościoła i włóżmy w modlitwy nasze prośbę o hipotekę, może Bóg wesprze niewinność i pomiesza rady przewrotnych.

ROZDZIAŁ XII.

Jeszcze wyprawa szósta. Jedziemy na Kalwaryą.

— A ja mówię, że hipoteka, rzekł pan sędzia siadając na bryczkę i rozcierając guz na czole, nie tylko nie jest potrzebną, ale owszem szkodliwą. Mospanie! zkąd taki wymysł: nigdy tego u nas nie bywało, a był kredyt i były pieniądze. Teraz wymyślono jakieś dzikie i nigdy niesłychane słowo, którém chcą straszyć magnatów. Bo mów sobie Wpan co chcesz: a to koncept na nich. Ot Mospanie! póki przecie byli panowie, póki były wielkie dwory, wszystko było dobrze. Szlachta miała gdzie służyć i miała komu dawać pieniądze. Za to była promocya, były obrywki; młodzież miała się gdzie podziewać, miała się gdzie świata napatrzyć. Aż miło pomyśleć, jakieto było wychowanie! Człowiek się sposobił i do

korda i do kielicha i do konkurów, a miał swoję dystynkcyą. Nie bito inaczéj jak na kobiercu... jeździliśmy konno i stali przy drzwiach w pokoju... spełnialiśmy kielichy za zdrowie JW. Pana. Nabierało się przez to grzeczności i poloru, a powoli można było uchwycić i dobrą partyą z pomiędzy panien na *respekcie*. Był przy tém posag; była czasem i wioska; były na dal widoki. Przecież i ja, Mości panie, zapamiętam onych czasów: służyłem i ja dworsko. Oj! nie życzyłbym WP. był naówczas wyrwać się z hipoteką. Nie było z panami żartów! a potém, proszę WPana, komu i naco ta hipoteka potrzebna? Czyż bez niéj nie pożyczamy pieniędzy? a broń Boże, nastanie, to i sprawy obligowe upadną. A cóż na to sędziowie i Jchmość adwokaci powiedzą?

P. strukczaszy. Mniejsza o to, co ci Jchmość powiedzą. Lepiéj, kiedy będziemy mieli jak najmniéj spraw i mało sądowych rejestrów. Panów téż hipoteka nie skrzywdzi; bo ona nikogo nie obdziera i nie ubozy, ale owszem zapobiega, żeby nikogo nie ubożono i nie obdzierano. Co się tyczy wystawności dworów, wcale nie jestem WPana zdania. U mnie państwo nie na wystawności zależy, i ten nie magnat co długów nie płaci, a exdywizyą kończy. Przypominam sobie, że nasz Kochanowski powiedział:

„To pan zdaniem mojém
Co przestał na swojém.“

A jabym dodał, że względem innych ten jest

większym panem, kto więcej robi dobrego. Powiedzże mi WPan, czy to jest czyn dobry, szumieć lat kilka i zrobić dwa, lub trzy razy tyle długu, ile można zapłacić. Dziękuję ja WPanu za takich magnatów! . . . . a przecie i dawniejsi panowie, których WPan tak wielbisz, po części do tego rzędu należeli. Szanuję i ja dawniejsze czasy, ale z innego względu. To, co WPan chwalisz, proszę darować mojéj szczerości, tchnie raczéj nierządem i barbarzyństwem, które nam naówczas sprawiedliwie wyrzucali sąsiedzi. Co mi to dobrego, karmić tłumi próżniaków i opojów, dla samej pompy i próżności, a sposobić do kielicha i sejmikowych bard młodzież, któraby w innym zawodzie mogła służyć użyteczniéj krajowi?

P. sędzia. Ale bój się Boga, panie strukczaszy! Czyż to być może? czy to przystoi? czy zgadza się to z dostojeństwem pierwszych domów, mazać się po księgach i przed plebeuszami wyświecać stan swojéj fortuny!

P. strukczaszy. Czemuż nie? Nie ma się czego tajć z uczciwie nabytym majątkiem. A prócz tego, kto nic pożycza, nie ma potrzeby wchodzić do hipotekowych książek, i aby opłacił podatek, nikt się jego majątku nie dotknie. Ale kto potrzebuje kredytu, a ma szczerą ochotę oddać co pożycza, jakiż mieć może powód tajć swoje fundusze? lub któż jest obowiązany wierzyć jego słowu? A gdyby mu wreszcie i wierzo-

no, jakże on może ręczyć za swoich następców? albo kto obowiązany im ufać?

P. sędzia. Jakto? a imie!

P. strukczaszy. Piękna to rzecz; wszelako na imie nie życzę WPanu pożyczać, jest to hipoteka bardzo niepewna. Ciężkoby z tego funduszu i na exlywizyi co dostać.

P. sędzia. Dobrze. ale kiedy kto jest źle w interesach: jak się to z tém wydać? w tém przecie jest honor imienia, honor familii! Pfe! aż pomyśleć zgroza! WPan widzę zarazileś się szkodliwemi maxymami.

P. strukczaszy. Bardzo przepraszam, te maxymy nikomu nie szkodzą. Jeżeli kto podupadł niewinnie, nie ma się czego wstydzić. Owszem, są przypadki, gdzie strata majątku jest ofiarą cnotliwą. I taki czyn daje prawdziwie piękne imie, wszyscy takich wielbią, szanują i chwalą.

P. sędzia. Dziękuję ja za takie pochwały. Tyle im to pomoże, co umarłemu kadzidło.

P. strukczaszy. Cale nie. Jest w tém dla dobrze myślących wielka ulga. Ale ulgę pominąwszy, mogą się znaleźć i tacy, co im rzeczywiście pomogą. I to właśnie są panowie, których ja szanuję. Jeżeli zaś kto podupadł przez postępki, których się wstydzi: czemuż nie ma sam za nie pokutować, a nie pociągać innych do pokutowania za siebie. Wierz mi panie sędzio, ubóstwo nikogo nie hańbi; ale nieprawe postępki bogaczów hańbią nawet największe imiona. Bo

jak są ludzie niewarci dobrego losu i majątku; tak jeszcze więcej jest takich, którzy nie są warci dobrego imienia.

P. sędzia. Zmiłuj się WPan; to nam tym sposobem mało i panów zostanie. A cóż to będzie?

P. strukczaszy. Oto się pokaże oczewiście, że ich mało mamy. Oto się zapobieży figurowaniu pańskiemu tych, co nic nie mają, albo co z majątkiem szlacheckim chcą panów udawać. Oto się przeszkodzi, że nie będą nakładać podatku na dobrą wiarę współobywateli. A cóż w tém złego? Na co te szumy i wystawy potrzebne? Dobry byt kraju wymaga, żeby się jak najwięcéj mieszkańców miało dobrze; wymaga, żeby rólnik, kupiec i rzemieślnik miał potrzebną i należytą opiekę. Panowie nikomu nie szkodzą, może nawet są potrzebni, ale nie stanowią krajowego szczęścia. Póki u nas królowie obsypowali co raz nowemi starostwy i urzędami, póty pełno było panów: jak téj pomocy nie stało, tak i oni znikli. Ale mniejsza o to: rólnictwo, handel i pożyteczne zakłady wymagają kapitałów. Bez nich muszą upaść zupełnie. A zkądże brać kapitały, skoro kredyt upadł? Ja zaś nie widzę innego na podźwignienie go sposobu, oprócz zaprowadzenia hipoteki i ożywienia na nowo handlu.

P. sędzia. Ślicznie WPan Dobrodziéj mówisz, może to wszystko i prawda, ale . . . przy-

znam się WPanu, że bez panów nie będzie dobrego.

P. strukczaszy. Ha! ha! ho! A czegoż się tak o nich troszczysz? Wszak się im przez to nic nie odbiera. Czy tylko nie myślisz sam panem zostać?

— Tak jest, odezwałem się też i ja — Mnie się zdaje, że sędzia przyjechał do miasta nie tylko dla sprawy, ale i dla pożyczenia pieniędzy, i dlatego nie chce hipoteki. Ot, gdyby się udało z milionik pożyczyć, toby może i panem został. Zmiłuj się panie sędzio, nie roztrącaj nas czwórką, jeżeli już do tego przyjdzie.

P. sędzia (śmiejąc się). Otóżbym roztrącał kapitalistów; zaco nie chcą nikomu pożyczać?

Ja. Dobra myśl, alebyś długo jeździł niemby się kto do roztrącenia nawinął.

Taką zajęci rozmową, nieśmy postrzegli, żeśmy się już od miejsca rozbicia znacznie oddalili, zostawiwszy za sobą zgraję zebranych słuchaczów i widzów. Jadąc postrzegłem zaraz w dolinie rozbite dwa namioty, przed któremi było kilka ławek, a pod namiotami cebry z wodą; w cebrach zaś flaszki prostéj i zaprawnéj wódki. — Tu i ówdzie spoczywali około namiotów rozciągnieni na trawie i, jak się zdaje, zmysłów pozbawieni wędrowcy. Właściciele zaś namiotów uprzejmi i grzeczni, występując naprzód, wzywali znużonych przechodzących na odpoczynek i posiłek. Strukczaszy, zajęty żywym sporem o hipotekę, przeciwko któréj pan sędzia tak mo-

cno powstawał, nie uważał owych szynków płóciennych, któreśmy minęli dość prędko. Lecz podjechawszy daléj widzieć się dał szałas z chróstu, a przy nim i naprzeciw niego stoły, stoliki i ławki zastawione flaszami, a obwarzankami i bułkami przykryte. Przy stołach, kiwały się poważnie szeroko rozpostarte żydki, a przy stolikach siedziały Jerozolimskie dziewice i matrony, położone na bokach, oparte na łokciach i podpierające się po pańsku pod brodę. — Jakto miło, widzieć lud tak cywilizowany, tak pracowity, tak pożyteczny, a tak skromny! — Niedaleko od téj kolonii Abrahama, siedzieli proszący o litość żebracy, i leżeli porozrzucani tu i owdzie pijacy. Widziałem, że widok ten obszedł cokolwiek strukczaszego; ale starzec kiwnął tylko głową i wzdrygnął ramionami, słowa nie mówiąc. Lecz gdy jadąc aż pod sam kościół spotykaliśmy ciągle szynkujących i włóczących się tu i owdzie żydów, to z wódką to z obwarzankami, to z rozmaitemi gratami, przerwał nakoniec milczenie i zawołał: „Mospanie! kiedym widział szynkujących żydów przed mostem i na przedmieściach, całe mię to nie obchodziło; ale nie mogę patrzeć bez zgrozy i boleści serca na zuchwałe i żadnego już nie mające hamulca żydowstwo, które nawet nasze odpusty zaraża i miejsca modlitwie poświęcone napełnia. Wszędzie ścigają lud z tą nieszczęśliwą gorzałką, i gdyby im własna ich wiara nie broniła wchodzić do naszych świątyń, zastawialiby ławki z wódką w samych kościołach.“

P. sędzia. Prawda, że to nie dobrze. Ale mów sobie pan strukczaszy, co chcesz, a ja zawsze utrzymuję, że żydzi bardzo potrzebni. WPan tego nie znasz, co siedzisz w mieście, ale na wsi aniby sobie rady dać można bez żydka. Przecież od niego i gotowy groszyk, i kawa, i cukier, i lój, a czasem i świeże mięsa. A dotego jest z kim pogadać! Można się od niego wiele rzeczy dowiedzieć to o sąsiadach, to o cenie produktów, to o różnych nowinach. Żydek o wszystkiém wie; można go do wszystkiego użyć.

P. strukczaszy. Wiem ja i to wszystko, choć dawno na wsi nie mieszkam. Żydek jest WPana powiernikiem i przyjacielem od serca, ale to nie darmo. Nie masz WPan za to przed nim nic tajnego; wszystko przez jego ręce przechodzi, wszystko przez niego dochodzi do WPana. Ma on oprócz tego przyjaźń z WPana ekonomem, exekutorem i włością, i z każdym z osobna jest przeciw WPanu w spisku.

Tak rozmawiając stanęliśmy na miejscu. Tu strukczaszy zamilkł i poszedł prosto do kościoła, gdzie odbywszy modlitwę udał się na obchód stacyj. Ruszył się za nim wielki tłum ludu, któremu przewodniczył w nabożeństwie, a ja i pan sędzia towarzyszyliśmy mu nieodstępnie. Podczas nabożeństwa, widziałem na starcu wyraz nadzwyczajnéj skromności, pokory, a razem powagi. Widziałem, jak był uważany i szanowany od ludzi. Patrząc na to myślałem sam w sobie,

że człowiek idący drogą zdrowego rozumu i cnoty ma coś wyższego nad ludzi, i wymusza uszanowanie nawet od tych, którzyby go radzi poniżyć. Ma więc prawość swoję i powagę i swoje oznaki, przeciwko którym wszystkie oznaki mniemanéj godności i zasługi są niczém. Po skończeniu nabożeństwa zbliżył się wieczór. Nasz zatém przewodnik rzekł, obróciwszy się do nas: „Moi panowie, uczyniliśmy zadość powinności naszéj, możemy się wrócić do domu.“ Jakoż wsiedliśmy natychmiast na bryczkę i ruszyliśmy do miasta. W powrocie, widziałem na snującym się po drodze motłoku najoczéwistsze skutki pijaństwa i rozpusty. Mijaliśmy co moment to chłopskie kolasy, to tak nazwane kalamaszki, to proste dorożki, naładowane pijanym obojéj płci ludem, który krzykiem, lub chrapliwém i niezgodném śpiéwaniem, wydawał najoczéwiściéj stan swego umysłu. W takim samym stanie znajdowała się i piechota, któréj wielka część nie mogąc kończyć podróży, pokładła się i zasypiała po drodze. Rozłożeni po trakcie szynkarze i szynkarki, wabili lub gwałtem zatrzymywali już obranych ze zmysłów i poili do reszty. Krótko mówiąc, widzieliśmy na odpuście garstkę ludu nabożnego i trzeźwego po stacyach i w kościele; po drodze zaś i około kościoła, wszędzie pijaństwo i pijaków, wszędzie rozstawione przez żydów sidła na chwytanie spodlonego i do trunków, na nieszczęście, aż nadto skłonnego ludu.

— Wódka, rzekłem patrząc na to, jest największém naszego kraju nieszczęściem; jest pra-

wdzięką klęską, jest najokropniejszą trucizną, tym gorszą, że nie tylko zabija nasz lud fizycznie, ale go robi podłym i nikczemnym we względzie moralnym. Czy może co być haniebniejszego nad widok, którego jesteśmy świadkami? Należałoby ten obmierzły trunek wytępić, jego kurzenie zakazać, owszem pamięć jego, jeżeli można, zagładzić; bo inaczéj nie widzę sposobu zapobieżenia téj klęsce.

— Są inne środki, odezwał się strukczaszy, nie tak gwałtowne a równie pewne. Najpierwszym, bez wątpienia, jest odjęcie jéj szafunku żydom. Rozpojanie naszego ludu jest ich dziełem, ulubionem zatrudnieniem i całym przemysłem. Widzisz WPan, że tém są jedynie zajęci. Drugim środkiem byłoby oświecenie ludu i przywiązanie go mocniejsze do wiary przodków naszych i do zamiłowania obowiązków swojego stanu. Ten środek jest prawie zupełnie w ręku duchownych (oby tylko lepiéj usposobionych, i lepiéj sposobiących się, jak należy, do tego stanu!). Ale cóż ..... pierwsza nauka ze strony apostołów wiary i obyczajów, jest dobry przykład. Święte i nieskażone obyczaje duchownych zjednają im szacunek i uszanowanie ludu; a te pociągną do zamiłowania i naśladowania cnoty. Naówczasto zacznie skutkować zdrowa nauka, naówczas można będzie łatwo odprowadzić lud od tak bezecnego nałogu i obcowania z żydowstwem. Ale kto naucza, powinien sam być przejęty i napojony prawdami, które objawia; powinien mówić

z gruntu serca i w całéj prostocie duszy; powinien mówić językiem ludu i do jego pojęcia. Mości panie! niewiele się ja spodziewam po naszych wymuskanych i głębokich nauczycielach, którzy jąkając się nudnie czytają z karty, albo prawią do ludu metafizyczne perory, upstrzone błyskotkami szkólnéj i fałszywéj wymowy. Chłopek nasz, do jakiegokolwiek dziś wejdzie kościoła, wszędzie trafi na niemieckie kazanie i dlatego albo drzymie, albo się wykrada ze świątyni, i idzie do żyda.

P. sędzia. Wstydźcie się WPanowie, takie prawić duby. Ja nie pojmuję, jak można tak bredzić! Nie dziwuję się Jegomości (wskazując na mnie), który się zaraził jakowąś filozofiją! ale WPan, panie strukczaszy, przecież sam byłeś gospodarzem i powinienbyś wiedzieć, że bez wódki nie masz gospodarstwa, a zatém nic nie ma. U nas dobry gospodarz jest ten, co wszystko zboże na wódkę przepędza; bo z tego ma gotowy grosz, karmi bydło, przedaje woły i utrzymuje oborę; z czego ma nawóz, a z nawozu urodzaj. Naturalnie, kto ma znaczną partyą wódki, musi ją wyprzedać, więc oddaje na szynki. Do tego jedni tylko żydzi sposobni, bo nasi chłopi szynkować nie umieją. Prawdę mówiąc, mają tędzy gospodarze jeszcze lepszy sposób, bo rozrzucają wódkę na dymy, a chłop rad nie rad musi pewną liczbę garcy zapłacić i wypić. Na tém korzyść oczewista, nie potrzeba szynkarzowi płacić dziesiątego grosza, a wódka się wyprzeda.

Chłop nie potrzebuje włóczyć się po miasteczkach i cudzych szynkach, bo ma wódkę w domu. Żydzi go nie oszukają.

— Prawda, przerwał mu strukczaszy; bo go oszukuje własny pan. Jestto przedziwna maxyma obdzierać swoich poddanych; i to WPan nazywasz ich dobrem. Powiedz, jakiém sumieniem możesz popierać tak obrzydłe zdanie, i chwalić takie postępki? — Chwała Bogu! mało u nas takich panów.

ROZDZIAŁ XIII.

Korrespondencya.

Jak uważam, i moja filozoficzna podróż na niektórych przyjaciół, kiedy nawet zaczynam odbierać listy prosto do siebie pisane. A chociaż napisy na kopertach są bardzo rozmaite i nie zawsze trafne, owszem często uwłaczają mojéj dostojności; wszelako ja na to nie uważam i bynajmniéj mię to nie gniewa. Żyjąc między ludźmi i chcąc żyć z nimi, trzeba być bardzo wyrozumiałym. Naturalnie, czytelnicy moi jeszcze nie wiedzą kto jestem; dotychczas albowiem mówiłem tylko o moich przechadzkach i postrzeżeniach, ale nigdy o sobie, ani o mojém urodzeniu, ani urodzie: nie wydałem się dotąd na żadnéj rycinie; bo to wszystko dla ważnych przyczyn odłożyłem na czas późniejszy. Prawdę mówiąc, autorowie robią trochę nieuważnie, chcąc żeby czytelnik, jeżeli Bóg da jakiego, zaraz na wstępie wiedział: kto oni są, jakie mają urzędy, za-

szczyty, ordery; a mianowicie czy są JWźni albo JOni. Źle, że drukują swoje twarze i głowy i od stóp do głów się opisują; bo właśnie czytelnik tego najciekawszy, a skoro się dowie o wszystkiém, rzuca dzieło i nie czyta daléj. Ja zaś całe tego nie zrobię. Mnie jeżeli który czytelnik chce poznać, musi przeczytać od deski do deski. Za to dowie się kto jestem i co zacz? ale aż na końcu. A żem przewidział, iżby niejeden ciekawice prosto od końca zaczynał, dlatego postanowiłem nie dawać więcéj dzieła, jak po dwie ćwiartki na raz. Nakoniec trzeba wiedzieć, że też nierówne są i prace autorów. Inni, co mają przed sobą mniéj obfitą materyą, mogą sobą i czytelnika i siebie samych zabawić. Ale kto pisze tak ważne i niewyczerpane dzieło, jak jest podróż próżniacka, prawdziwie nie ma czasu pomyśleć o sobie. Nielada to praca, kochany czytelniku! — i szczerze ci powiadam, że im bardziéj biorę w dzieło, tym większą widzę przed sobą przestrzeń i nie wiem, czy siły moje i życie na opisanie wszystkiego wystarczą. Tymczasem zrobiłem rzecz najtrudniejszą; zacząłem i trochem się już zadaleko zapuścił; więc trzeba brnąć daléj, choćby też przyszło i utonąć na środku. Tobie zaś przyjacielu to powiem dla pociechy, iż, abyś tylko wytrzymał do końca, znajdziesz doskonałą o mnie wiadomość: bo się tak opiszę, że mię od razu poznasz jak w zwierciadle. A w tenczas jakato będzie dla ciebie radość, jeżeli przypadkiem ujrzysz, żeśmy jak dwie krople wody

do siebie podobni. Ale jeszcze nie czas, więc dajmy temu pokój, a posłuchaj o moim przypadku.

Kilka dni temu, gdym szedł zwolna i uważnie przez Zmudzką ulicę, zaszedł mi drogę żydek i oddał list, którego taki był napis: „Wmu Imci Panu Próżniakowi Filozoficznemu, na bruku wileńskim.“

„Co to jest? zawołałem z gniewem; to nie do mnie.“

„Z przeproszeniem, odpowiedział żydek, ja wiem że do Pana.“

„Ale kto ci to oddał?“

„To oddał jeden Pan, co bardzo często do miasta przyjeżdża.“

„A jak się zowie?“

„Co ja wiem!“ —

To powiedziawszy odszedł i zniknął. Więc mimo postanowienia mojego, nie mógłem mu oddać listu na powrót. Otóż patrzaj kochany czytelniku, co to za pismo.

„*Mości Panie Kollego!*

„Chociaż mi dotąd nie wypadło poznać się osobiście z WPanem; wszelako pewien jestem, że zachodzi bliskie pomiędzy nami pokrewieństwo: bośmy niezmiernie do siebie podobni. WPan dumasz przechodząc się po bruku i nic nie robiąc; ja zaś nic nie robiąc jeżdżę a jeżdżę. Ta mała pomiędzy nami różnica może pochodzić z różnego humoru, z różnej konstytucyi duszy i ciała, albo tylko kieszeni. Bo niech to WPana nie gniewa; wszak się przez to nic filozofii nie

uwłacza, ale może dla tego chodzisz, że nie masz za co jeździć. Mnie zaś na tém nie zbywa. Mam ja o kilka mil od miasta majętność, w której nie bardzo wiem co się dzieje. Rządzi tam moja żona i ekonom, a ja zawsze na bryczce: nie dla interesów, bo żadnych nie mam; nie dla zdrowia, bo mi na niém nie zbywa: ale dla nudy i niepojętéj jakiéjś potrzeby odmiany towarzystwa i miejsca. Siedzieć albowiem kilka dni na miejscu, jest dla mnie niesłychana męka. Nie raz gdy jadę i leżę spokojnie na bryczce, snują mi się po głowie rozmaite myśli i projekta, których takie mam mnóstwo, że gdybyśmy mieli u siebie akademiją projektystów, tak jak na wyspie Balnabarbi, jabym pewno był jéj rektorem. Ale cóż? nie wiedziałem co z temi projektami począć, dopóki mi w Wilnie nie wpadła w ręce WPana *Filozoficzna podróż*. Przeczytawszy parę numerków na kawie, takem się ucieszył, żem z radości wrzasnął: Brawo! Wszyscy przytomni wytrzeszczyli na mnie oczy, a ja konfuz i śmiejąc się do rozpuku pobiegłem do siebie. Wymieniecie! pomyślałem w duszy, trafiłem na swego.... wszakto zdaje się, że ja sam. Muszę go koniecznie poznać. Nuż więc biegać po ulicach, azali WPana gdzie nie spotkam. Ale prawdziwie nie wiem, po jakiemu WPan chodzisz? Wszak ledwom WPana wczora zdybał na końskim targu. Ależ za to poznałem od razu. Prawda że się WPan do tego czasu ledwo co opisał; ale swój swego pozna. A ja z dalcka poczuję, że nie powiem,

zwącham, próżniaka; a jak go postrzegę, to przyznam się WPanu, z radości ledwo ze skóry nie wyskoczę. Naśmiawszy się więc do woli, pokazałem WPana z daleka mojemu faktorowi, który WPanu ten list odda, a to w rzeczy takiéj.

P r o j e k t.

„Musiałeś WPan w swoich przechadzkach uważać, jak miłość ludzkości nie tylko u nas wygórowała widocznie, ale się nawet coraz bardziéj wzmaga i krzewi. Dowodem tego są ustanowione i stanowiące się od niejakiego czasu towarzystwa dobroczynności, które się przykładają staraniem i majątkiem do opatrzenia prawdziwie ubogich. Nie sądź WPan, ażebym ja tak był nierozsądny, abym powstawał na te zbawienne ustawy. Owszem szanuję je i z serca uwielbiam, ale nie mogę o nich pomyśleć bez żalu, uważając że te arcy-chwalebne fundusze mają tylko wzgląd na potrzeby fizyczne, a mianowicie żołądkowe, które, przyznasz WPan, że są mniéj ważne; kiedy najślachetniejsza część człowieka, jaką jest głowa i osadzone w niéj władze, w zupełném są zaniedbaniu, bez najmniejszego opatrzenia, bez żadnéj strawy i obroku. Prawdziwie, serce się kraje, ile razy o tém pomyślę; ani mogę pojąć, co też u nas rozumni ludzie robią, że żadnemu ta myśl do głowy nie przyszła. Nikt nie wątpi, że umysł jest najpiękniejszą częścią jestestwa naszego; a przynajmniéj wszyscy tak mówią. A wszelako jeżeli się pilnie i bez uprzedzenia przypatrzymy, bądź sobie samym, bądź kochanym

bliźnim naszym, przekonamy się natychmiast: że umysłowe ubóstwo daleko jest pospolitsze i cięższe, aniżeli cielesne. Azaliż więc nędza taka do żadnéj nas nie poruszy litości? Nie zaradzimyż nigdy temu rodzajowi niedostatku? Nie przemówimy za bracią do braci? Wszakże człowiek składa się z duszy i ciała; a zatém święty ów przepis, żeby „łaknącego nakarmić, pragnącego napoić“ nie do żołądka się tylko ściąga ale i do potrzeb umysłowych. Mnie się przynajmniéj tak wydaje, i radbym zasięgnął w téj mierze WPana rady; bo jak uważam, z pomiędzy niezliczonych kolegów naszych WPan przechodząc się rozmyślasz, a my i tego nie lubimy.“

„Otoż takie myśli wiły mi się po głowie, gdym niedawno jechał z Trok do Oszmiany, i mam sobie za obowiązek sumienia wyspowiadać się WPanu w téj mierze, ażebyś na osnowie tych myśli projekt nowego towarzystwa ułożył i w swojéj *Podróży po bruku* umieścił. A naprzód:

„Musiałeś WPan uważać, że jak są chromi, niemi, ślepi i rozmaici inni kalecy na ciele: tak są z dopuszczenia i woli nieba i rozmaici umysłowi kalecy, którym nigdy żadna siła, żaden ludzki wynalazek nie zaradzi: bo trudno walczyć z naturą! — O takich więc nieuleczonych nieborakach mówić nie myślę. Powinni oni uważać swój los za dziwactwo przyrodzenia albo za jego pomyłkę, tak jak rude włosy, głos chrapowaty, albo krzywe nogi. Szczęściem ten rodzaj kalectwa niłogo nie obchodzi, ani nie martwi. Nawiedzeni

niém nie widzą tego co inni w nich postrzegają; owszem przez dobroczynne zrządzenie Opatrzności, spoglądają na siebie z podziwieniem i rozkoszą; nie mogą się wydziwić swoim przymiotom i zdolnościom, w których widzą prawdziwą doskonałość i piękność, jak Kałmucy w zgniecionéj twarzy i sterczących poliezkach, albo Styryjskie niewiasty w woli na szyi. Na tym padole płaczu taka jest odwieczna ustawa, że każdy z siebie kontent, a ubolewa tylko nad losem bliźniego. I to jest bardzo dobrze! Ludzie tylko są źli i wszystko psują; ale natura jest łaskawa i dobroczynna, a co tylko nam dała, to jest wszystko w najlepszym gatunku*). Otoż takim ubogim dajmy pokój, bo przyznam się WPanu, że z tego względu nie wypada nikogo zaczepiać, inaczéj, któż wie, możeby przyszło pójść samym do Dobroczynności.

„Ale prawdziwéj litości i pomocy ci tylko są godni, którzy zdolności przyrodzonych używać i doskonalić nie chcą lub nie mogą; co, jeżeli się nie mylę, albo pochodzi z wrodzonéj i arcy-chwalebnéj skłonności do odpoczynku**) albo z niedo-

*) Zdaje się, że mój kolega, jako człowiek oczytany, wziął tę myśl z pierwszego peryodu Emila; a jak mi się widzi, oddał bardzo naturalnie i właściwie.

**) W tém miejscu korrespondent, choć i o sobie nie zapomniał, dla mnie jest grzeczny. Widać że to jakiś słuszny człowiek. Przyjdzie czas że i

statku zachęcenia i nagrody. Uważałem albowiem, iż w tak nazwanéj umysłowéj pracy nie znajdujemy najmniejszego smaku, że się nie kochamy nawet w łakotkach dowcipu, zwłaszcza jeżeli ten dowcip jest na papierze i w druku; że się nie znamy na jego przyprawie i przysmakach; a lubimy mocno i doskonale znamy wszystkie przysmaki i łakotki żołądkowe. Słyszałem zaś jeszcze w szkołach, że należy zawsze postępować od rzeczy znajomych do niezznajomych. Zkąd wnoszę, że i do przysmaków i specyałów umysłowych i literackich najlepiéj prowadzić przez żołądkowe i zmysłowe, jako i znajome i lubione powszechnie — *Powtóre:*

„Karmi się umysł i tuczy nauka i czytaniem; a to jest ciężka praca! Każda praca jest sama przez się niesmaczna i tylko widok lub nadzieja nagrody mogą do niéj pociągnąć i jakożkolwiek ją osłodzić. Dotąd wszelako nie mieliśmy żadnego na to względu. Popłacała u nas nadstawna mina, dobra tusza, okazała postać, piękna suknia, nadętość pańska i hajdamacka czupurność; ale głowa i nauka niewiele. Otożby także warto coś obmyśleć dla celujących i pracujących w tym rodzaju. Myślałem ja raz całą

---

ja go pochwalę; bo tak wypada, żeby swój swego chwalił, a zawsze przez miłość prawdy. Jestto oddawna przyjęte prawidło, osobliwie w towarzystwach recenzyjnych, których u nas, chwała Bogu! nie ma.

drogę o tém, i zdaje mi się nakoniec, żeby było rzeczą bardzo przyzwoitą i właściwą, dwa rodzaje władz i potrzeb ludzkich, niesprawiedliwie rozdzielone, nanowo z sobą połączyć: — Bo zniosłszy poróżnienie pomiędzy niemi i wszelką niezgodę, możnaby przez najukochańsze prowadzić do zaniedbanych i niemiłych, i jedne zamienić w nagrodę za drugie. Tłumaczę się. Gdyby np. nie dać jeść tym, którzy głową pracować nie chcą, a karmić w ich oczach i napawać tych, co pracują; możeby się nareszcie dali nawrócić. Krótko mówiąc, trzeba żeby prace umysłowe były sposobem zaspokojenia i ucieszenia żołądka. Jeżeli tego dokażem, przewyższymy nauką świat cały; bo naówczas ci będą najuczeńsi, którzy mają najlepszy apetyt. Przymiot na którym nam, dzięki Bogu, nie zbywa.

„Proszę WPana więc ułożyć na podobnych zasadach projekt osobnego Towarzystwa i wezwać wszystkich miłosiernych, dobroczynnych, na wędę bliźniego tkliwych; wszystkich filantropów, liberalistów i jakkolwiek się inaczej nazywających pofrancuzku czy pogrecku, ażeby się skojarzyli i złożyli akcye*) na fundusz umysłowej dobroczynności. — A ponieważ ja nie mam czasu, więc spodziewam się, że mię WPan w téj pracy wy-

*) Przez akcyą nie rozumie się żadna czynność, jakby mi oświeceni myślić mogli. Akcya znaczy prosto *danie pieniędzy*.

ręczysz. Ale ostrzegam, że fundusz powinien wynosić przynajmniéj kilka milionów, dla przyniesienia kilkakroć stotysięcy dochodu. Spodziewam się, że ten ogrom funduszu nikogo prawdziwie liberalnego nie zadziwy; bo naturalnie, im gdzie jest większe ubóstwo, tym na wsparcie bliźniego więcéj łożyć wypada.

„Z tego funduszu zakupi się naprzód, lub wystawi i przyporządzi dostatni gmach, opatrzony we wszystko cokolwiek ciało i umysł zasilać może. A zatém, naprzód w dobrą kuchnią i piwnicę; a potém i w księgi potrzebne. Te ostatnie powinny mieć wszystkie zewnętrzne zalety i pozorne powaby; to jest, być drukowane na pięknym papierze, dobrym i obszernym drukiem, a jeżeli można, mają być ozdobione obrazkami, które, jak każdy wie, są wielką zaletą dzieła, zachęcają do jego czytania i do zrozumienia pomagają. I to niemało do zalety i wartości dzieła należy, kiedy na czele jaśnieje wizerunek samego autora, nad którymby się czytelnik pół godzinki lub minut kilkanaście zabawił i ciekawie rozważył, jak też nieoszacowany autor wygląda, a nadewszystko jakie ma czoło? — Wszystko to są dla słabych umysłów drobiazgi; ale dla prawdziwie wielkich ludzi, o jakich dziś nietrudno, rzeczy nader ważne; wszystko to jest do zrozumienia dzieła pomocne, owszem z siebie bardzo uczące. Ja np. co jeżdżąc często lubię czytać; ile razy dostanę nowéj książki, zaraz patrzę jak jest oprawna i czy ma portret autora na czele? —

Jeżeli ma, zapaliwszy lulkę wpatruję się weń z największą uwagą i rozbieram bezstronnie cały skład jego twarzy: a jeżeli mu, Broń boże, źle z oczów patrzy, zaraz rzucam dzieło i już go nigdy nie czytam.

„Słyszałem ja, i bardzo żałuję, że nie mam téj nauki, słyszałem, mówię, że jakiś uczony Niemiec zrobił bardzo porządną mappę ludzkiej głowy, podzielił ją na rozmaite posiadłości, które prawem dziedzicznem różnym władzom umysłowym rozdał, nie pozwalając się rozszerzać na bok, dla uniknienia dyferencyj i zajazdów*), ale tylko do góry w rogi wyrastać. Dobra byłaby to rzecz znać się na tych rozumowych rogach, boby człowiek za pierwszym rzutem oka na wizerunek autora i pomacaniem się po własnéj głowie, od razu poznał: czy jest w jego mozgu to, czego nam nie dostaje? A zatém czy warto książkę kupić i czytać, lub nie? — Dlatego radbym, ażeby proponowane towarzystwo miało przy sobie jednego z uczniów tego czaszkowego mędrca. Dlatego dobrzeby było, ażeby się zniosło i porozumiało z towarzystwem drukarskiém, nie tylko przez ostrożność, aby mu sławy umysłowéj nigdy nie zabrakło; ale najistotniéj dla tego, ażeby druki

*) Rzecz szczególna i godna uwagi. Rozumiałby kto, że ten uczony nas doskonale znał i o naszych tylko władzach myślał. Radbym się dowiedział, czy też ustanowił dla nich Sądy Graniczne.

były ozdobne, przyjemne i powabne. Dla ostatecznego zaś uskutecznienia i wydoskonalenia całego przedsięwzięcia, należałoby WPanu osnować i Towarzystwo Autorskie, gdyż dopiero z połączenia się i skojarzenia tych trzech zbawiennych ustanowień spodziewać się można zupełnego zapobieżenia umysłowéj nędzy. Tymczasem ja wyjeżdżam i trudno mi pisać na bryczce lub w karczmie u żyda, więc to WPanu poruczam.“

„WPana przyjaciel od serca.

Próżniak podróżny.“

Patrz, czytelniku kochany, czego się memu koledze chce i jaką wkłada na mnie pracę. Ale cóż robić? — Podobają mi się jego myśli; więc za pierwszém zobaczeniem się, muszę ci podać projekt ustaw dla tego nowego towarzystwa.

ROZDZIAŁ XIV.

Osnowa ustawy dla Towarzystwa Literackiéj Dobroczynności.

Jak się to często zdarza, czytelniku kochany, że się człowiek niepotrzebnie wymówi! — Przyjaciele łap za słówko; a potém nuż wbijać punkt honoru; nuż przytaczać, to słowo szlacheckie, to dobro publiczne, to przysługę krajową, to sławę narodu i t. d. i t. d. — Tak człowiek, rad nierad, musi robić to, czego chcą drudzy, nie to, coby sam rad robił. Ja np. radbym podług mego zwyczaju, nic nie robił; a nie mogę. Mijam to, żem się obowiązał dostarczać ci, kochany przyjacielu, kiedy niekiedy moich postrzeżeń na bruku; sąto wprawdzie rzeczy niepotrzebne, ale cóż robić? Do téj pracy zaciągnąłem się dobrowolnie; nikt mię nie namawiał, nikt nie musił. Zwyczajnie Świerzb autorski! Oj! ciężka to choroba,

i jeszcze na nię nie znaleziono lekarstwa. Bo jak z powołania gadułom, np. kumom, ciężko zawrzeć usta; tak bazgraczom ciężko się rozstać z piórem. Ciężyły mi na sercu moje postrzeżenia próżniackie. Publicznie o nich rozprawiać i machać rękami nie mógłem, bom z przyrodzenia wstydliwy; a dotego nie jestem ani nauczycielem, ani kaznodzieją, ani rzecznikiem; więc trzeba było pisać dla ulżenia sercu. Ale zaco mi się było podejmować napisania organizacyi Dobroczynnego Towarzystwa, którego projekt sklecił na bryczce mój podróżny kolega? Jaka mi potrzeba ślęczyć i pracować za kogo? — Prawdę mówiąc, gniewam się za to sam na siebie; ale dałem słowo; wymówiłem się; więc, rad nie rad, przystępuję do roboty. Niech to służy za pokutę i nauczy mię ostrożności na drugi raz. Ty zaś przyjacielu korzystaj z mojéj pomyłki; a potém czytaj, jeżeli możesz.

Perora, albo poprostu: Wstęp.

Ludzie postanowili jednomyślnie od wieków, że się rozumem różnią od zwierząt. O czém i ja tak trzymam. Mowa albowiem, pomimo zdania narodowéj grammatyki, żadnéj nie stanowi różnicy; bo zwierzęta wydają głos i rozumieją się doskonale. Owszem widać, że mają język powszechny i daleko lepszy od naszego; woły albowiem, barany i konie nasze, doskonale się rozumieją z angielskiemi i francuzkiemi, i dlatego sobie z tamtąd guwernerów i profesorów nie spro-

wadzają. Ptaki, oprócz tego, śpiewają arye i dają leśne koncerta, i tém się tylko różnią od naszych śpiewaków, że je dają bez pieniędzy. Najdawniejsza oprócz tego historya świadczy, w najgodniejszych pisarzach znajdujemy wzmiankę: że dawniéj rozmawiały zwierzęta i bydło gadało; a jeżeli teraz milczy, nie może to pochodzić zkąd inąd, tylko, żeśmy je nakoniec przegadali zupełnie, i to jest pierwszy dowód naszego rozumu. Jakoż podobne próbki jeszcze i teraz w wielu towarzystwach i zgromadzeniach uczonych postrzegać można; gdzie zawsze ten ma rozum, kto innych przegada. Od momentu więc tego znakomitego zwycięstwa tak się ludzie rozgadali, że niekontenci z wielu języków, wymyślili pismo; a tém nie zaspokojeni, skomponowali druk. Tym sposobem pisząc a pisząc i na gwałt drukując, może każdy, nawet w kącie siedzący, wygadać się lub wyszeptać do woli. Jakoż dla ulgi w ciężkich dolegliwościach autorskich, jaki taki, za mocy tego przywileju, dopóty bazgrze dopóki go nie włożą do trumny. A i tu w *Wirtuozach* nie koniec; zostawują albowiem niekiedy potomności kilka lub kilkanaście tomów swojéj pogrobowéj bazgraniny; którą dla zaspokojenia ich dzieci i sukcessorów chciwości, pozostali śmiertelni, jeżeli nie czytać, to przynajmniéj kupować muszą.

Wszyscy zaś piszący zgodzili się jednomyślnie na to: że nauka i rozum, są w książkach, i że gdyby je czytano powszechnie, mielibyśmy rozum wszyscy a wszyscy. Rozumem zaś

i nauką utrzymają się, wzrastają i kwitną familie, stoją państwa i narody; a mądrość rządzi światem. Zkąd wypada, jak dwa razy dwa są cztery, że gdyby nie książki i gdyby ich nie czytano, upadłyby familie, państwa i narody; rodzajby ludzki zniekczemniał, a świat się skończył. Na książkach, chwała Bogu, nie zbywa; owszem co rok lepszy na nie urodzaj; bo nie ma już takiego zakątka, gdzieby nie pisano. Wszędzie się siłą i idą na wyścigi dowcipy, wszędzie się jeżą czupryny i łysiny kurzą; wszędzie jęczą prasy pod ogromem tych mozgowych wyziewów. Ale cóż potém, kiedy czytelników nie ma. Otóż towarzystwo umysłowéj albo raczéj Literackiéj Dobroczynności, duchem najczystszym przejęte, przedsiębierze temu złemu zaradzić i na dal zapobiedz. A zatém któż nie widzi, żeto będzie towarzystwo nad towarzystwami, że jego wpływ dobroczynny jest nieskończony i do opisania niepodobny, i że ono tylko może rodzaj ludzki od upadku i od powszechnéj zagłady, świat od zguby ochronić. A zatém:

Treść rzeczy.

Art. 1. Będzie Towarzystwo Literackiéj Dobroczynności, które chcącym a nie mogącym czytać dopomoże; nie chcących zachęci i przywabi. Członki tego towarzystwa, za pierwszém zebraniem się na zjazd ogólny, ustanowią akcye i zobowiążą się własnoręcznym podpisem do złożenia ich w naznaczonym czasie; ktoby zaś

nie złożył akcyj, może się obowiązać do rocznéj opłaty pewnego *quantum*.

Art. II. Literackie Towarzystwo Dobroczynności założy się w Wilnie, jako w mieście zawierającém znaczne zgromadzenie literatów różnego stanu i różnéj miary; tudzież wiele pysznych ubogich; w którém łatwo się opatrzyć w książki i wszelkie zmysłowe do nich pomoty; gdzie łatwo jest o światło, zwłaszcza przy dobréj sannéj drodze; gdzie można dostać podostatkiem okularów, umbrelek, tytuniu, tabaki i innych literakich pomocy.

Art. III. Pierwszy zatém walny zjazd Towarzystwa odprawi się na Pohulance, pod prezydencyą podróżnego próżniaka. Zjazd ten składać się będzie ze znakomitych osób, tak stanu duchownego jako i świeckiego, i to płci obojéj. Na tym zjeździe wybiorą się urzędnicy i officyaliści potrzebni.

Art. IV. Istotnym zamiarem i najwalniejszém przedsięwzięciem Towarzystwa będzie: zachęcać, wprawiać i dopomagać do czytania wszelkiego rodzaju druków, tak krajowych jako i zagranicznych; ale najistotniéj pierwszych, jako najmniéj czytanych.

Art. V. Ażeby zaś upośledzonych ze strony nauki wesprzeć skutecznie; ażeby ich przez obudzenie smaku i nagrodę, do czytania pociągnąć: wystawi Towarzystwo i przysposobi osobny gmach, temu jedynie poświęcony celowi, który się będzie

nazywał *czytalnią*. Ten opatrzony będzie w obszerne i wygodne sale, a nadewszystko w dostatnią i dobrze uposażoną śpiżarnią i piwnicę, w należyty kredens, w kuchnią obszerną i potrzebną usługę.

Art. VI. Ażeby zaś imie *czytalni* przechodzących nie odstraszało, zawiesi się osobne ostrzeżenie na tablicy za kratką: Że się tu daje jeść i pić za lekkie czytanie.

Art. VII. Gdy się to wszystko jak należy urządzi, wypadnie też pomyśleć i o założeniu biblioteki, która się powinna składać: 1) ze wszystkich dzieł krajowych, jakich tylko będzie można dostać; 2) ze wszelkich pism peryodycznych; 3) z klassyków, tak starożytnych jako i nowoczesnych; 4) z dzieł od autorów nadesłanych i do czytania poleconych.

Art. VIII. Ponieważ zaś starzy autorowie polscy poszli na funciki lub pod placki; albo w teraźniejszym oświeconym wieku, u oświeconych dam naszych, na papiloty iść nie przestają; przeto Towarzystwo Dobroczynne ogłosi nagrody każdemu, ktoby mu jakikolwiek zbiegły, lub obłąkany i nieczytelny stary szpargał polski przystawił.

Art. IX. Samo Towarzystwo Dobroczynne składać się będzie z członków, którzy akcye złożą, lub roczną składkę wypłacą; czytalnią zaś zawiadywać i zarządzać będzie osobny komitet, na powszechnym zjeździe wybrany. Ten zawsze

będzie zasiadał w czytalni w sali osobnéj, dla zaradzenia wszelkim niespodzianym zdarzeniom i wypadkom.

Art. X. Będzie, oprócz tego, w czytalni: szafarz, piwniczny, dwóch lub więcéj kucharzy, kredencerz, i bibliotekarz ze swoimi pomocnikami. Pomiędzy tymi będzie jeden Fizyognomista i jeden Gallista. Ci mają być w czytalni zawsze obecni.

Art. XI. Czytalnia ma być codziennie otwarta od godziny siódméj rannéj do dziesiątéj wieczornéj. Sale zaś do czytania mają być opatrzone w stoły, stoliki, ławki, stolki, krzesła lub kanapy; w wygodne pulpity, okulary, szkła powiększające i kolorowe wszelkiego rodzaju; mają być dobrze oświecone i jak najdoskonaléj ogrzane, ażeby czytający nie tracili czasu na zacieranie rąk i tupaniu nogami.

Art. XII. Przychodzący czytać powinni mieć lat 20 skończonych; inaczéj bibliotekarz, za zniesieniem się z komitetem, odeszle ich do szkoły. Nadewszystko zaś ma się bibliotekarz zapewnić, iż przychodzący do czytalni umieją w saméj rzeczy czytać. Dlatego honorowi kawalerowie gniewać się nie będą i nie wezmą za obrazę swojéj zacności, jeżeli w podanéj sobie książce ćwiartkę przynajmniéj głośno przed bibliotekarzem przeczytają.

Art. XIII. Będzie ułożona przez bibliotekarza i komitet tabella dzieł i przeznaczonych

za ich czytanie nagród, które mają być w ogólności takie: 1) Z samego rana, podług ważności stanu i gustu czytelnika, polewka winna, albo grzane piwo, kawa lub herbata; a za przekąskę grzanki, chleb z maslem lub suchark. 2) O godzinie jedynastéj, śniadanie — tojest, podług zwyczaju krajowego: wódka, i to dobra kminkówka, albo gdańska ze złotemi listkami, robiona na Ruduickiéj ulicy. Przy niéj ser zielony, śledzie, kawior, szynka, ozór i rozmaite wędzonki. 3) Niewolno wszakże będzie pić więcéj wódki nad jeden kieliszek; chybaby kto dowiódł, że czytał od samego rana dzieło pracowite, albo że zrozumiał choć cokolwiek takie, którego nikt zrozumieć nie może, naówczas wolno będzie wypić i dwa dla posiłku. Ci, co piją dla strawności po kilka lub kilkanaście kieliszków, mają się raczéj udać na Adwokackie lub Kancelaryjskie śniadania, ile że się na nie nigdy nie spóźnią, jako trwające do późnéj nocy. 4) Przekąska także będzie stosowna do zasługi w czytaniu; co sam bibliotekarz z tabeli oznaczy. W przypadkach wątpliwych, lub gdyby czytający wymagał czego nad przepis, komitetowi pytanie do rozwiązania przeszle. 5) Obiadu w czytalni nie będzie, lecz dla potrzebnych, a pilnie i pracowicie czytających, może być dany zraz pieczeni. 6) Po obiedzie zaś, będą rozmaite posiłki i rzeczy orzeźwiające, jakoto: wina różnego gatunku; piwo dubeltowe i kaleszan; wieczorem zaś poncz, który zakończy całodzienną pracę.

Art. XIV. Za wiedzą komitetu mogą być dawane w niektórych przypadkach i nagrody pieniężne, zwłaszcza za dzieła głębokie i niezmiernie uczone, którychby nikt darmo nie czytał. Pusczczający się na takie przedsięwzięcie podadzą do komitetu urzędową prośbę; a ten się z nimi o nagrodę ułoży.

Art. XV. Dla znakomitych, oprócz tego, i honorowych czytelników będą nagrody honorowe, tojest: zasiadać będą wyższe i wygodniejsze krzesła, zjadać smaczniejsze kawałki i popijać lepsze trunki. Będą się im rozścielać pod nogi rogoże, dywany lub futra niedźwiedzie; i wolno im będzie kiedy niekiedy wyjść do drugiéj sali dla wypalenia lulki. Za to będą się im dawały do czytania pisma trochę trudne do strawienia i takie, których przeczytanie moją uczeni za niepospolity zaszczyt; chwaląc się z tém co moment w przypiskach.

Art. XVI. Wchodząc do czytalni, każdy konkurrent oświadczy i w protokule zapisze, co chce czytać, i jakiéj za to żąda nagrody? A jeżeliby chciał czytać, ale sam nie wiedział co i powiedzieć nie mógł; bibliotekarz wyrozumie, czém się trudni lub trudnić w życiu myśli, i poda mu książkę do tego zatrudnienia stosowną.

Art. XVII. W przypadku gdyby trudno było znaleźć i z pewnością naznaczyć dzieło do czytania; bibliotekarz odniesie się do komitetu.

który w towarzystwie jednego ze swoich członków zeszle Fizyognomistę i Gallistę. Ci rozpatrzywszy się w rysach twarzy i zdjąwszy plan głowy, oznaczą: w czém kandydat może celować, a zatém co ma czytać; zaprowadzi go bibliotekarz do osobnéj sali, dla ludzi bez celu przeznaczonéj, gdzie mu każe dać gazetę i lulkę, lecz ta ostatnia będzie całą jego nagrodą.

Art. XVIII. Członki mające w towarzystwie akcye, lub rocznie do niego płacące, wolne są od wszelkiego czytania; bo w naturalnym rzeczy porządku, dwóch rzeczy razem robić nie można. Oprócz tego doświadczenie pokazało, a dobre towarzystwa zgodziły się od dawna na to: że to osobom majętnym i dobrze urodzonym niepotrzebne i całe nie przystoi. Bawić się więc będą jedzeniem, piciem, lulką i samą rozmową; albo założą gry towarzyskie, w których się zgrywać będą bardzo uczciwym sposobem, jedynie dla rozrywki. Wolno im nawet gazet nie czytać; ale officyaliści w czytalni, albo rozmowni miłośnicy nowin zdadzą im, na każde żądanie, sprawę z wszelkiego rodzaju pisanych i niepisanych wieści, o których członki poważnie i mądrze rozprawiać będą.

Art. XIX. Osoby, które złożyły akcye, zgromadzać się będą w sali posiedzeń raz na miesiąc, gdzie się mają naradzać o sposobach utrzymania towarzystwa, i zaciągania coraz więcéj

czytelników. Z téj okazyi zawsze wypalą kilka mów i będą stanowili o wartości dzieł, podług ich grubości, wagi, lub zdania bibliotekarza, a mianowicie postanowią, które księgi ma zakupić i jak kazać oprawić? Zgromadzenie to będzie miało swego sekretarza z wielkim protokułem i przezydenta z miną poważną. Pierwszy będzie wpisywał w protokuł, co mu się podoba; ostatni zaś będzie podpisywał, nie czytając.

Art. XX. Autorowie, którzy dla uczonych pism swoich nie znajdą dosyć czytelników i odbytu, mogą się udać pod opiekę Dobroczynnego Towarzystwa; które jeżeli osądzi, iż dzieła ich prawdziwie są warte litości, wystawi je w czytalni na widok publiczny i, stosownie do natury rzeczy i zdania komitetu, wyznaczy nagrody za przeczytanie tomu, rozdziału lub ćwiartki; podług tego jak osądzi, wiele siły ludzkie wytrzymać, lub cierpliwość znieść zdoła.

Art. XXI. Panowie, którzy autorami zostali, zechcą przysłać, razem z przesłanemi do czytania dziełami, assygnacye na pewne summy, jeżeli chcą aby im dostarczano czytelników. Albo mogą zawierać z Towarzystwem Dobroczynném umowy i kontrakty, które się do podobnych dostarczeń obowiązywać będzie. Zgromadzenia zaś niektóre piszące i drukujące mogą się o czytanie swoich druków wcześnie z Dobroczynnością ułożyć, która ze swojéj strony uręcza, iż dobry

uczynek i wsparcie nieszczęśliwych będzie miała na pierwszym względzie.

Art. XXII. Jak przy bibliotekach znakomitych bywają starożytnicy, tak przy czytalni Wileńskiéj utrzymywać się ma nowożytnik. Jego obowiązkiem będzie: 1) W świeżych narodowych dziełach dociekać znaczenia nowo wynalezionych słów lub sposobów mówienia z zagranicy zaciągnionych, i te na żądanie czytających objaśniać i tłumaczyć, jeżeli może. 2) Wykładać rozmaite nowe wynalazki w pisowni i, żeby nikogo nie gniewał, zawsze je chwalić. 3) Dawać maleńki kurs wszystkich niby nowych od sąsiadów, a poczęści i od małpowanych wynalazków w sztuce pisania; mianowicie melryczności i romantyczności, a nadewszystko pisania i tłumaczenia genijalnie, tojest, jak często bywa, bez rymu i sensu.

Art. XXIII. Nakoniec: uważając, że od czasu zakwitnienia umiejętności na Zachodzie zaczęto pisać nie tak książki jak przypiski, co jest gatunkiem dowcipnego wynalazku na nielitościwych barbarzyńców księgarzami nazwanych: uważając, że z tego uczonego kuglarstwa nic nie wynika, oprócz psucia papieru, druku i oczów: komitet i urzędnicy w czytalni ostrzegą i ostrzeżenie to na wszystkich drzwiach mocno przylepią: Że się za czytanie przypisków nie a nie nie płaci; albo biorąc rzeczy pod wagę, tylko dymem i lulką. Oprócz tego, wszyscy urzędnicy prze-

strzegać będą, ażeby czasem z powołania autorowie podobnych przypisków potajemnie, na krzywdę bliźniego, nie wypisywali; bo to jest uczynek nieludzki i niechrześciański.

ROZDZIAŁ XV.

Siódma wyprawa niewielka, ale wielki filozoficzny traktat.

Już ja zgaduję, kochany czytelniku, co myślisz o mnie. Podobno mię masz za samochwalcę, albo raczéj za samozwańca. Obiecałem ci opisać podróż próżniacką wprawdzie, ale i filozoficzną; a wszelako dotąd bawiłem się tylko samém próżniactwem i włóczęgą.

— A gdzież owa obiecana filozofija? odezwiesz się zapewne. — Czego ja mam, powiesz, płacić za próżniactwo! — Jaki mi osobliwszy towar! — Tego dobra jest dosyć i u mnie. — Filozofija! .... to co innego! przecie jest za co dać dziesięć groszy. —

— Prawda ... ależ bo ... kiedy to rzecz tak okrzyczana ta filozofija! ... kiedyż to łają

i w pismach, i w rozmowach, i na ambonach . . . kiedy niektórzy ludzie z powołania i obowiązku rozumni powiadają: że co tylko jest złego na świecie, to wszystko zrobiły filozofy. Jakże się tu z filozofiją odezwać? . . . jak wydać? . . . Człowiek od razu okrzyczany, zbałwiony, potępiony. Co innego próżniactwo! — na to się nikt nie gniewa; to rzecz bardzo niewinna, owszem zbawienna; powszechnie szacowana i lubiona; to pewna droga do szczęścia. A choć się kto przeciwko niemu odezwie, to tylko żartem; to jedynie przez skromność, żeby się samego nie chwalić. A potém, nic bardzo piękne popisywać się, że kto próżniak i nic nie robi. Ale nic nie robić, a udawać pracowitego, zatrudnionego, ważnego i wielkiego człowieka, to pięknie, to w najlepszych towarzystwach uchodzi, z dobrym tonem się zgadza zupełnie i nigdy z mody nie wyjdzie. Ale poco ta perora? — idźmy do rzeczy. Oto ci muszę koniecznie dać traktat filozoficzny, choćby mię też wszyscy bazgraczе i peroranci łajać mieli. A dotego traktat nie lada, bo od wielu filozofów na wszystkie strony obracany. Chcę mówić, traktat *O szczęściu*.

Szczęście i nieszczęście.

Wczoraj*) ledwom wyszedł na ulicę, spo-

*) NB. było to 15go września.

tkał mię JP. Nowinkiewicz, mój dawny znajomy, a ścisnąwszy serdecznie, rzekł:

— Jakem też ja *nieszczęśliwy*, że cię nigdy w domu zastać nie mogę. Kilka razy zachodziłem do ciebie, bo ci mam donieść tysiąc rzeczy ciekawych, ale cię nigdy niema. Zmiłuj się, czekaj jutro na mnie.

— Dobrze! rzekłem, a idąc daléj myślałem w duszy: jakem *szczęśliwy*, że mię ten gadula i nudziarz w domu nie zachwycił. Zbliżając się do rynku postrzegłem uskakującego nagle na bok znajomego mi dobrze panicza, który uciekał jak oparzony, ciągnąc za rękę jakiegoś kolegę i mówiąc dość głośno, tak żem mógł słyszeć.

— To prawdziwe *nieszczęście*; gdzie się obrócę, wszędzie jest; — ustrzedz się tego człowieka nie można. Jakiś ty *szczęśliwy*, że cię nie zna.

Gdy tak panicz uciekał, wywrócił niosącą garnuszek w ręku dziewczynkę i wylał jéj śmietankę.

— Ah! ja *nieszczęśliwa!* poczęła wołać i płakać rzewnemi łzami; pani mię przez cały tydzień bić będzie.

Los jéj, nie chwaląc się, mocno mię poruszył; dobyłem więc pięćdziesiąt groszy z kieszeni i poradziłem: żeby nie robiła krzywdy tak dobréj pani i odkupiła śmietankę. Zarumieniła się cokolwiek, ale przyjęła i odeszła; a jam pomyślał w duszy. „I to *szczęście*, żem tę dzie-

wezynkę od płaczu i plag uwolnił.“ Wchodząc na plac, zaszedł mi drogę P. rotmistrz, mój stary znajomy, który tylko co z bryczki wysiadł.

— Co to znaczy, rzekłem, że do miasta przyjeżdżasz?

— Oto przywiózłem trochę żyta na przedaż; ale cóż? — *nieszczęście*, Mospanie! wszakto powiadają, że nic przedać nie można.

— Dlaczego?

— Cena, słyszę, tak mała, że się nie nagradza nasza praca. A dotego, patrzaj WPan, co to za czas; zimno i sucho; wszakto na przyszły rok żyta nie będzie. Prawdziwe *nieszczęście*, Mospanie!

To powiedziawszy westchnął serdecznie i odszedł; a ja żałując przyjaciela, pożegnałem się z nim i poszedłem daléj pod ratusz. Idąc otarłem się naprzód o dwóch piekarzy, radujących się niezmiernie, że żyto spadło na pięć rubli.

— Ot to *szczęście*! mówił jeden do drugiego, zboże nadzwyczaj tanie, a my dla tego chleb i przedajemy drogo, i będziemy tak przedawali jak zawsze.

— Jestto, pomyślałem sobie, *szczęście* wasze, ale nie tych co kupują. — Ledwom minął piekarzy, nadeszła właśnie powracająca z placyku i siadająca do karety Klimena.

— Jak się masz, panie sekretarzu? rzekła do mnie. Co to za *szczęście* niezrównane, tak

piękna i tak długa pogoda! — Przynajmniéj teraz żyjemy.

— Prawda, Pani, odpowiedziałem; ale oto tylko co się ze mną rozszedł mój przyjaciel, pan rotmistrz, który powiada, że ta pogoda bardzo szkodzi nasiewom.

— *Fi donc!* to jakiś okropny prostak. Bo te wieśniaki nigdy niekontente z niczego. *Mon Dieu!* to jakiś barbarzyniec. Czy on chce, żebyśmy żyły w błocie jak żaby! *A propos*; pojutrze u nas sessya; nie zapominajże WPan.

Ukłoniłem się nizko, a podszedłszy kilkadziesiąt kroków, siadłem na ławce i zacząłem rozmyślać.

Szczęście i nieszczęście! Wszakto sobie filozofowie nie żartem suszyli głowy, żeby powiedzieć: na czém zależą, i żeby ludzi nauczyć, jak szczęśliwymi być mają. Wtém przypomniałem sobie, że i ja podjąłem się być filozofem. Więc wypada i mnie zgłębić tę materyą mądrze i uczenie; zwyczajnie jak na filozofa przystoi. Mniejsza o to, czy się rodzaj ludzki pozna na téj przysłudze i czy mi potrafi być wdzięcznym. Filozofujmy! — Co téż to ludzie nazywają szczęściem? — Musi to wszelako być coś prawdziwego, kiedy wszyscy do niego wzdychają i całe życie biegną za niém w zawody. Ale musi to być albo coś niepięknego, albo jakiś skarb, z którym się nie należy wydawać; bo ile pamiętam, nigdy mi się nie zdarzyło powiedzieć komu, że szczęśliwy, żeby się tego natychmiast nie wy-

parł i nie spędził na kogoś drugiego, mówiąc: *ot to człowiek szczęśliwy!* — Jeszczem nie znał nikogo, coby komuś drugiemu nie zazdrościł, i coby był kontent z własnego losu, z własnego stanu, z własnego majątku. Jeżeli powinszujesz szczęścia bogatemu i opływającemu we wszystko; rozgniewa się niechybnie, i zaraz zacznie ubolewać na niezdrowie, na bezsenność, na brak apetytu, na słabość żołądka. Powinszuj komu zdrowia i dobréj cery; zaraz zacznie narzekać na złe czasy, na tegoroczny nieurodzaj, na ubóstwo. Winszuj komu, że się ożenił (NB. w kilka miesięcy po ślubie); skrzywi się i gotów żałować, że księdzem nie został. To stan, powié ci, najszczęśliwszy! dla nich beneficia, prebendy, prelatury; dla nich honory i uszanowanie powszechne! — Powinszujże księdzu, który się wyniósł na wysokie w swoim stanie stopnie; niejeden żałuje, że się nie ożenił; widzi najwyższe szczęście w dzieciach i otoczeniu się liczną familią. Ten, który się nią otoczył, skarży się na los: niekontent z dzieci, i chętnieby się mienił z tymi, którzy żadnych nie mają. Ci nawzajem do niczego nie wzdychają więcéj; tego tylko dobra pragną, jego osiągnieniem jedynie zajęci. Dlatego, patrz jak wożą a wożą żony do cudownych miejsc, do wód, do doktorów, albo nakoniec do bab i Antosków. Cóżby tedy skomponować dla człowieka, żeby był szczęśliwy? — Pomyślmy! Zdaje się, że gdyby kto był zawsze kontent, zupełnie przestawał na tém co ma i czém jest, i

niczego więcéj nie żądał, musiałby być szczęśliwym — a przynajmniéj nie widzę, dlaczegoby nim nie był. Trzeba tedy, żeby każdy człowiek miał coś takiego, z czegoby się zawsze cieszył i na coby z nikim nigdy nie chciał frymarczyć. Ale cóżby to było takiego? Zapewne nie majątek i bogactwa; bo się pokazuje oczéwiście, że im ludzie więcéj ich mają, tym więcéj pragną. Nie sława; bo téj nigdy nienasyci i zawsze szukają większéj; a jeżeli, broń Boże, postrzegą, że kto był albo jest sławniejszy, dręczą się i cierpią, a zatém są prawdziwie nieszczęśliwi. Nie dostojeństwa i zaszczyty; bo jak tylko dostąpią tych co żądali, zaraz pragną nowych. Nie rozumiałbym téż, żeby było prawdziwe, pewne i trwałe szczęście w miłości lub przyjaźni. Bo pierwsza nie jest szczęśliwa, jeżeli niewzajemna; a jeżeli szczęśliwa, płocha i nietrwała. Druga do znalezienia bardzo trudna, jeżeli podobna; często się łączy z nieufnością lub podejrzeniem, i trwa pospolicie dopóty, dopóki nie wpadnie interes, który ją rozerwie. Słowem, nie mogą nas zaspokoić i uszczęśliwić rzeczy; bo ich pragniemy coraz więcéj, i nigdy nie przestajemy na tém, co mamy. Nie mogą ludzie, bo z tych nigdy nie jesteśmy kontenci. A potém, każdemu z nas co innego się roi o szczęściu; bo to, co jeden ma za nie, drugi nieszczęściem nazywa. Np. gdyby mię był P. Nowinkiewicz szczęściem złowił w domu; byłoby to prawdziwe dla mnie nieszczę-

ście. Nieszczęście dziewczyny, która wylała śmietankę, było mojém uszczęśliwieniem, żem mógł to biedne stworzenie ratować w kłopocie. I to szczęście, że takowe uszczęśliwienie kosztowało tylko 50 groszy. Nieszczęście P. rotmistrza było uszczęśliwieniem piekarzy i zacnéj Filimeny. Więc cóż może być źródłem powszechnego szczęścia? — Na czém je tu zasadzić? — Otoż to sęk, to do rozwiązania węzeł! — Gdyby ci np. kochany czytelniku, dano na moment władzę urządzenia świata, podług twojéj woli; cóżbyś zrobił? Ani wątpię, żebyś zaraz chciał uszczęśliwić całe ludzkie plemie. Ale jakbyś tego dokazał? Oi to zagadka! — Jakżebyś wszystkim dogodził? Kiedy co jednych uszczęśliwia, gniewa i robi nieszczęśliwymi drugich. Cokolwiekbyś uczynił, chwaliłoby cię może kilku lub kilkunastu, kłęło stu, a łajaliby wszyscy. Ci nawet, którymbyś zrobił dobrze, chwaliliby cię ponieważ, ale z dodatkiem: że można było zrobić daleko lepiéj. Więc mojém zdaniem, ubieganie się o szczęście, które ma zależeć od rzeczy i od ludzi, jest gatunkiem gry losowéj, w któréj nikt wygrać nie może, żeby nie przegrał drugi i trzeci. A zatém porzućmy, kochany czytelniku, tę grę. — „Dziękuję! powiesz: więc niéma szczęścia na świecie.“ Przepraszam; otóż ja wam czytelnicy objawię tajemnicę, zbierzcie się tylko i słuchajcie wszyscy.

Uważcie tylko, moi Panowie kochani, co też zawsze lubicie? i z czegoście wszyscy kontenci?

Czy nie konteneiście sami z siebie? „Dobrze, powiecie — ale to sprawiedliwie! A potém cóż z tego?“ — Rozważcież tylko dobrze, a przekonacie się, że nie wszystko i w sobie równie poważacie; ale że jest w was rzecz jedna zawsze doskonała, nieoszacowana, i którejbyście z niczém, na nie na świecie, nie mieniali. Jestto poczęści serce, ale najistotniéj głowa i to wszystko, co się w niéj rodzi. Znałem wielu, którzy prawdziwie filozoficznie wszystko mieli za nic, nie dbali o życie, ani majątek, daliby sobie byli odcinać ręce i nogi; ale którzy nigdy nie pozwolili nie powiedzieć przeciwko swojemu sercu, ani swojéj głowie. Znam pełno takich, coby się radzi mieniali na apetyt i żołądek, na smak, słuch lub wzrok; nikogo, żeby swego serca i swojéj głowy nie miał za najlepsze, i coby się chciał mieniać na nie. — Uważałem nawet, tylko moi Panowie nie wypierajcie się, wszakto rzecz między nami; uważałem, mówię, że każdy najlepiéj trzyma o tém wszystkiém, co głowa jego rodzi, a każdy tak ma dobre serce, żeby rad temi płodami wszystkich a wszystkich uraczył. Rzecz prawdziwie osobliwa! — Nie widziałem nigdy sklępca w tym rodzaju: owszem, wszyscyśmy hojni aż do zbytku, wszyscy wspaniali. Dlatego jedni piszą a piszą, drudzy prawią a prawią, a wszyscy nauczają i częstują bliźniego swojemi mozgowemi płodami. Ten podaje przepisy dobrego życia, ów zachowania zdrowia, tamten zebrania majątku, a inny dopięcia sławy lub dostąpienia zaszczy-

tów. Ten znowu częstuje erudycyą lub nauką; ów dowcipem, rozumem, wymową. Tamten każdemu, kogo złapie, czyta swoje wiersze lub prozaiczne ramoty; ów zaś, zaparłszy biednego bliźniego w kąt i trzymając za połę, opowiada z uniesieniem i roskoszą ważne swoje myśli, wielkie projekta, przedsięwzięcia cudowne lub nowe widoki. Krótko mówiąc, wszyscyśmy kontenci z własnych głów, z własnych talentów i zdolności, wszyscy się niemi cieszymy i nigdy nie możemy nacieszyć, wszyscy się w nich przeglądamy, nigdy ich pojąć, zgłębić, nigdy się im wydziwić nie możemy.

Biorąc zaś rzeczy po filozofsku, uważam, że to tylko może być źródłem powszechnego szczęścia, co wszystkich raduje i bawi przyjemnie, a co wszyscy mają lub, kiedy chcą, mieć mogą. Spodziewam się zaś, żem cię, kochany czytelniku, w ciągu teraźniejszego pisma przekonał, iż próżniactwo, którego tyle mamy gatunków i odmian, jest i powszechnie lubione i daje początek tysiącznym ukontentowaniom i rozkoszom; a zatém, podług najściślejszych prawideł logicznych, zawiązuję i stanowię, iż: *prawdziwe szczęście człowieka jest w próżniactwie i przyjemnem rozpamiętywaniu własnych przymiotów i zdolności.* A tak, kochany czytelniku, sam widzisz jak masz postępować, abyś był prawdziwie i trwale szczęśliwym. — Wzgardź tém, co się dzieje wokoło ciebie; miéj wszystko i wszystkich za nic; zanurz się i zaskiep, że tak powiem, sam w sobie;

ciesz się swoją osóbką i pij puhar szczęścia zastanawiając się nad własnemi doskonałościami, któremi cię tak hojnie obdarzyła natura, a przekonasz się: jak moja rada jest gruntowna, jak moja nauka nieporuszona.

Nie dbam ja o to, że inni filozofowie, moi koledzy, którzy się do próżniactwa, jak mówią, nie poczuwają, to jest: przyznać nie chcą; hurmem powstaną na mnie, i każdy mię swoim systematem lub szkolarstwem chwostać będzie. Mojéj rzeczy, chwała Bogu, aż nadto jestem pewien. Moje szczęście nie tylko jest prawdziwe, ale i nieodbitą moją własnością; nikt mi go dać, nikt odjąć nie może; noszę je albowiem sam w sobie i odemnie tylko zawisło. Ktokolwiek zaś chce utrzymywać inaczéj, niech się uderzy w piersi, niech kiedyżkolwiek przestanie siebie zwodzić i oszukiwać współbraci.

A potém, doświadczenie mówi za mną. — Czy może być kto szczęśliwszy od Temiry, która cały dzień rozważa w zwierciedle doskonałości swojéj twarzyczki? Tylko bieda, że tak wielkie szczęście nietrwałe. Widzę zdaleka, jak powolnym lecz nieodstąpionym krokiem idą a idą zmarszczki, które to szczęście obalą. Ma wprawdzie Temira i główkę; ma dowcipek ostry, w którym się kocha, a którym nielitościwie tnie i kaleczy bliźniego: i to szczęście może jéj zostanie na starość. — Nie wiem tylko, co zostanie kochanemu sędziemu, który to się w zwierciedle przegląda i poprawia, to się nóżkom to innym do-

skonałym i wzorowym częściom ciałka swojego przypatruje; to się coraz inaczéj kryguje i ustawia, a zawsze miluchnym umizgiem, że jest najszczęśliwszym z ludzi, upewnia. Wszystko to wielkie szczęście, ale nietrwałe.

Lecz mędrzec, który kilkaset szpargałów przedrabował; który się w swojéj komnacie długiém doświadczeniem przekonał, że nic nad jego główkę; który na płody swoich kolegów litościwie ramionami wzdryga; który im nawet niekiedy, jak z trójnoga, iż nic nie umieją, objawia; kiedy zamknięty w literackiéj komórce treść swojego mozgu w kilku szorstkich wierszykach rozpuścił; kiedy nędzną rozprawkę, ni w pięć ni w dziewięć, z wielkim mozołem sklecił; albo gdy duszę swoję, pisząc o garnku Etruskim lub pantoflu Peryklesa, na papiér wylał, i nad tym papierem, dziwiąc się sam sobie, z rozkoszy i zachwycenia ledwo dyszy; ot to człowiek prawdziwie i na wieki szczęśliwy! — A gdzież on to szczęście znalazł? — W ciasnéj swojéj głowie. — Otóż po tam wszyscy szukajcie, a im główki znajdziecie ciaśniejsze, tym szczęście wasze pewniejsze i trwalsze.

Koniec Tomu IV.

Bibljoteka
L 89/52
2118

POLSKA AKADEMIA NAUK
BIBLIOTEKA
Instytutu im. M. Mochnackiego
2118

RCIN
REPOZYTORIUM CYFROWE
INSTYTUTÓW NAUKOWYCH

DZIEŁA